

GROTTGER

Dział *492*

Znak *4008*

30 kw. *2018*



NAPISAŁA

MARJA GERSON-DABROWSKA

NAKŁADEM „KSIĘGARNI LUDOWEJ”
WARSZAWA — 1918 — UL. WARECKA № 14

GROTTGER



2018



2018

75:92

Odbito w Hłocni Wł. Łazarzkiego.
Klische wykonano w Zakładach aw-
tystycznych „Helios”.



10013632



Gedruckt und auch für die Ausfuhr freigegeben durch die Kais. Deut.
Presseabteilung. Warschau, den 28|XI 1917. T. № 8218. Dr. № 731.



TO z was zna te dwory wiejskie, dawniej gęsto
po ziemiach polskich rozsiane, dziś—jak ludzie,
starzejący się i schorowani, wymierające powoli?
Czy znacie te ganki na białych słupkach, te da-
chy gontowe, wysokie, strzeliste, smagane deszczem jesien-
nym, bielone szronem?

Czy znacie ten dwór w wieńcu wiosennej zieleni lub wów-
czas, gdy:

.....,twarzy zupełnie odmienił
Ów las topoli; już się więcej nie zielenił.
Dziedziniec, gdzie bławatki, cykorje i maki
Barwiły się, jak szalów indyjskich szlaki...
Teraz biały, wczorajszą zasutę zawieją,
A na nim ścieżki, świeżo deptane, czernieją...“

Ten dwór na wsi zapadłej, czasem cichy, zadumany, cza-
sem gwarny, roześmiany, pełen bujnego śmiechu i wesela,
odgłosów trąbek myśliwskich, rżenia koni i ujadania psów
gończych?

Czy znacie dwór taki?

W jednym z takich dworów w Galicji wschodniej, we wsi
Ottyniowice, przyszedł na świat w r. 1837, jeden z najwięk-
szych poetów polskich.

Poetów? Jakież poezje pisał Artur Grottger? gdzie dzieła
jego? gdzie książki, które napisał?

Otóż nie. Nie słowem mówił do swego narodu ten wiel-
ki nasz poeta, ale formą, obrazem, całym szeregiem obrazów
cudnych, jak marzenie poety, smutnych i bolesnych, jak
smutną i bólu pełną bywała dusza polska. Był malarzem,
poetą z Bożej łaski, z dziedzictwa, ze swego otoczenia, które
mówiło do niego każdym świeżo rozkwitłym kwiatem, każ-

Artur Grottger.

dym promieniem słońca, którego mu nie skradły zimne i martwe mury miejskie.

Artur Grottger był synem pierworodnym Józefa Grottgera, który dobra ottyniowickie w dzierzawie miał. Matka, Krystyna Blaháo de Chodietow, pochodziła ze spolszczonej węgierskiej rodziny. U kołyski dziecięcia jawiła się wąsata, marsowa twarz ojca, słodka twarz matki, klasycznie piękne postacie trzech ciotek. Wzrastał w otoczeniu cudnej wsi i zacnej rodziny, jasne i piękne było dzieciństwo Artura.

Rozproszone dziś po świecie istnieją portrety i obrazy, noszące podpis — Józef Grottger. Istotnie autorem ich jest ojciec Artura, który w młodości poświęcał się studjom malarzkim, zdradzając w tym kierunku pewne zdolności. Późniejsza praca na roli odrywa p. Józefa od pędzla i palety, ale pozostaje na zawsze znawstwo i zamiłowanie, które przelewa w swego pierworodnego.

Praca troskliwego ojca nie idzie oporem. Mały Artur rwie się do ołówka i pędzla, a modeli mu nie brak. Koń, krowa, pies, kawałek płota, najtrudniejsza wreszcie ze wszystkiego — postać i głowa ludzka, wszystko było dobre, wszystko służyło za wzór małemu rysownikowi. A w tych chwilach pracy czuwa nad nim wyrobione oko ojca, kieruje umiętną ręką, a usta powtarzają słowa zachęty.

Te chwile, te dobre słowa zachęty miały mu starczyć na długie, długie lata, na ciężkie chwile niepowodzeń i zawodów.

Wzrastał mały Artur, a bujną jego wyobraźnię kołysały opowieści bojowe. W długie wieczory jesienne i zimowe, gdy:

*„Noc była wietrzna, śnieżna, a wichry śpiewały
W kominach swoje zwykłe, płaczące choraty...”*

snuły się bez końca opowieści z życia obozowego, wspomnienia niedawnej rewolucji, w której pan Józef, gorący patrijota, czynny brał udział. Bojownik o wolność swego narodu budzi w sercu syna te same ideały, które, rzuciwszy ojca w służbę ojczyzny na plac boju, syna pchnęły na drogę tejże samej służby, którą pełnił nie z szablą, lecz z pędzlem i ołówkiem w ręku.

— Ano, Arturku, możebyś ty to wyrysował, coś slysział ode mnie — zachęcał ojciec. A chłopiec chwytął za ołówek i sypały się szkice za szkicami, sceny za scenami, pełne ruchu, werwy i charakteru.

Genjalne dziesięcioletnie dziecko rysuje dramatyczną scenę, przedstawiającą egzekucję, dokonywaną na szpiegu rosyjskim przez polskich ułanów. A potem szereg obrazków rzeczy widzianych i niewidzianych: oto wyjazd na polowanie, ekwipaż zaprzężony w czwórke, konie w galopie, utarczką wojsk polskich z tatarami. Dużo, dużo tych prac dziecięcych, gdzie treścią są sceny żywe, tłumne, gdzie koń, walka, ruch, stanowią oś obrazu.

I nie tedy dziwnego, iż gdy w czternastym roku życia został młodziutki Artur wysłany do Lwowa dla dalszego kształcenia, a przypadek zetknął go z Juljuszem Kossakiem, znakomitym malarzem koni i scen wojennych, nic dziwnego, iż znajomość ta i rady starszego kolegi tembardziej rozpały wyobraźnię chłopca i utrwaliły w obranym kierunku.

W tym to roku 1851 na wiosnę w sklepie Jürgensa we Lwowie wystawiono w oknie obrazek niewielki, malowany olejno, a przedstawiający pogoń szlachty polskiej za tatarami w chwili, gdy najeźdźcy, złupiwszy kościół, uchodzą ze swą zdobyczą. Traf chciał, iż przed wystawą zatrzymał się

major wojsk austriackich, potomek możnej bawarskiej rodziny, hrabia Aleksander Pappenheim.

„Spostrzegłem w wystawie obraz, — pisze Pappenheim — który mnie uderzył śmiałą, prawie genialną kompozycją, życiem i prawdą, jakimi tchnęły liczne, umieszczone na nim figury ludzi i koni, wreszcie silną i żywą barwą...”

Zachwył magnata bawarskiego ujawnia się w czynie. Nabywa obrazek, zapytując zarazem ciekawie o autora, i dowiaduje się ze zdumieniem, że jest nim czternastoletni zaledwie chłopczyna. I tu następuje ważny zwrot w życiu Grottgera. Pappenheim odkrywa w Grottgerze „tak bogato uposażoną, tak na wskroś poetyczną naturę“, że postanawia „przyciągnąć go do siebie i o ile możności stać mu się użytecznym“. I w istocie w osobie hrabiego znajduje młodziutki artysta opiekuna i całym sercem oddanego sobie przyjaciela.

Widzimy tedy Artura z nieodstępnym albumem w ręku, towarzyszącego majorowi w jego samotnych przechadzkach, spędzającego czas na długich rozmowach ze starszym znacznie przyjacielem, który w tych pogawędkach z utalentowanym młodzieniaszkiem szczególną znajdował przyjemność. Widzimy go kiedyindziej w ujeżdżalni, gdzie życzliwy opiekun uczy go jeździć konno, co dla młodego amatora koni niemalą stanowi przyjemność, zapoznając zarazem z koniem, którego tak często w obrazkach swoich umieszczał.

Wtedy to, podczas jednej z wycieczek konnych w okolicy Lwowa, pełne jarów i parowów, dwaj jeźdźcy stanęli u skraju stromej skały, u głębokiego parowu. Jadą wzdłuż jego brzegu, gdy nagle „stroma urwisko zatamowało nasz pochód — pisze Pappenheim. — Niepodobna było zawrócić



ARTUR GROTTER.

konia na stromej skale; nie mając więc wyboru należało skoczyć z jednej strony na drugą⁴⁾. Zakłopotani zatrzymują się, rozważając, co dalej czynić; lecz „widocznem było, że tylko ów śmiały i zdeterminowany skok zdoła nas wyprowadzić z kłopotu—pisze dalej hrabia.—Zapytałem Grotgera, czy nie brak mu na to odwagi? a gdy odparł, że nie czuje trwogi, skoczyłem naprzód, pouczyłem go, jak się ma zachować w stanowczej chwili i wstrzymałem oddech, oczekując z najwyższym niepokojem, co się stanie? Drżałem z obawy o niego, myśląc, jak byłbym nieszczęśliwym, gdyby upadł i złamał rękę lub nogę. Odetchnąłem dopiero z głębi piersi, widząc, że rumak olbrzymim skokiem osiągnął bardzo szczęśliwie przeciwną stronę skały, a młody jeździec siedział w siodle spokojnie i lekko, jakby mu przed chwilą nie groziło najmniejsze niebezpieczeństwo“.

Chwila ta sprawiła jednak na Grotgerze tak silne wrażenie i tak żywo utkwiała mu w pamięci, że po wielu latach wymalował akwarellę¹⁾, przedstawiającą Czerkiesia, który skacze przez taką samą przepaść.

Wszystko, wszystko, co przeżywał niezwykle ten artysta, było mu natchnieniem i podniecią do pracy. Bóle swoje, zachwyty, miłości, wzruszenia — zaklinał w kształt widomy, rzucił na papier, jako szkic, notatkę lub skończony obrazek.

Minęła wiosna i lato. W październiku tego samego roku Lwów święci uroczystość niezwykle. Oto odbywa się wjazd młodego cesarza Franciszka Józefa.

Miasto przybrało odświętny wygląd. Powiewają sztanda-

¹⁾ Malowanie wodnemi farbami.



ry, pstrzą się i barwią kobierce, strojąc okna domów: brama tryumfalna oczekuje wjazdu monarchy; na ulicach tłumy, w oknach głowa przy głowie. A w jednym z okien, wychodzących na rynek, stoi młody chłopczyzna i z pośpiechem i natężeniem zarazem szkicuje barwny obraz. Oto wjazd się rozpoczął, oto: — cesarz konno, duchowieństwo, dygnitarze, wojsko, straż honorowe. Oto strzelają ponad głowy tłumy wysokie proporce, strojne w kwiaty i furkoczące z wiatrem chorągiewki; powiewają sztandary cechowe, przeciągają oddziały wojska na dzielnych koniach...

Oczy chłopca chłoną ten obraz, pełen barw i ruchu, a ręka ze zdumiewającą szybkością rzuca na papier zarysy ludzi, koni, całego tłumy widzów. Rozkosz to dla niego taki obraz odtwarzać, ale obok tego i obowiązek do spełnienia. Ta praca ma mu zapewnić przyszłość. Chodzi o to, żeby zainteresować cesarza osobą młodego chłopca i wyjednać mu zasiłek na dalsze kształcenie. W jeden dzień z pośpiesznego szkicu wykonywa Artur akwarellę dużą, dopełniając pamięcią, czego naszkicować nie zdążył. Akwarellę zawieszono w pałacu hr. Zabielskiego, gdzie cesarz zatrzymał się, wyjechawszy ze Lwowa, a udając się na Bukowinę.

I znów, jak niedawno Pappenheim, cesarz ze zdumieniem dowiaduje się, iż autorem obrazu jest czternastoletnie dziecko prawie. Wzruszony Artur zostaje przedstawiony cesarzowi, który przyobiecuje mu zasiłek na dalsze kształcenie w sztuce. 20 florenów¹⁾ miesięcznie ma chłopiec zapewnione i warunek, aby się udał do Krakowa do szkoły Sztuk Pięknych, a potem do Wiednia.

1) Około 100 zł. polskich.

Tu kończy się pierwszy okres życia Grottgera, kończy się to słodkie dzieciństwo, a zaczyna okres młodości.

Zanim jednak uda się do Krakowa, spędza jeszcze kilka miesięcy w Zagórzach, w pięknej, górzyskiej okolicy, w gościnnym domu p. Skrzyńskich. Stąd pisuje listy do rodziców, przejęte głęboką miłością, czcią i dziecięcą prostotą.

„Z bólem serca powiedzieć wam muszę, że tego roku niestety, oko moje nie będzie was oglądać, usta moje nie wpiją się w najdroższe na świecie, ucho nie usłyszy pieszczot rodzicielskich. Nie ucałuję Olesia, Jarusi i Muni. Ależ skoro przyjadę, to będę tak całował, ścisnął, cieszył się, że aż zachoruję!“

„Bądź mi zdrow i wesół,—pisze znów p. Józef do syna— a nie trać czasu“.

A syn też nie próżnuje. Z czasu pobytu w Zagórzach datuje się cały szereg szkiców, widoków zamków, krajobrazów, typów górskich. Pracuje, jak tylko może najlepiej, wpatruje się w one bory świerkowe, pola omglone, twarze ludu naszego — czasem zadumane, czasem rzeźkie i chwackie. Patrzy na tę swoją ziemię oczyma poety, uczy się ją kochać i odczytywać te „głoski, pełne miłości, któremi rodzinną stroną do swojej dziatwy przemawia“.

Stary Kraków otwarł wrota swoje przed młodzieńskim artystą.

Dziecko prawie wstępuje do szkoły Sztuk Pięknych jako jeden z jej uczniów. Dyrektorem szkoły wówczas był niemłody już Stattler, człowiek wielkich dla sztuki zasług, ale

wówczas już zgorzkniały, surowy, zasklepiiony w swoim sposobie pojmowania sztuki; niechętnem okiem patrzył na wszystko, co nowe, świeże, co tchnęło życiem i młodością.

A i wzorować się nie było na czem. Sztuka polska dopiero żyć zaczynała. Starszy od Grottgera Rodakowski zaledwie zaczął pracę samodzielną, Kossak i Gerson uczą się jeszcze w akademjach zagranicznych, Matejko był rówieśnikiem Grottgera; tak samo Andriolli i Kotsis. A tylu, tylu innych, których dzieła dziś podziwiamy, o których słyszymy, nie wyszli jeszcze z dzieciństwa. Jasnym też jest, iż droga, którą szedł młody Artur, uciążliwą była i trudną; wszystko samemu zdobywać, wszystko odgadywać, dróg najlepszych szukać samemu.

A Grottgerowi głowa się paliła i paliły oczy do wszystkiego, co piękne, co tylko w obraz ująć było można. Niechętnie zasiadał do ulubionych przez dyrektora „martwych natur“ — rozbitych garnków i jajek, sztucznie na drewnianych figurach rozpiętych draperji. Pracował jednak usilnie, bo była w nim ta zawziętość pracy, która wszelkie talenta na wyżyny dźwiga; była w nim ta skromność wielka, która kazała mu najsurowiej oceniać swoją pracę i zawsze wątpić o jej wartości.

Cieszy się też jak dziecię każdym powodzeniem.

„Pan Łuszczkiewicz, mój profesor, jest bardzo grzeczny dla mnie i zadowolony“ — pisze do rodziców i przytacza dalej słowa profesora: „idź tak dalej, a zajdziesz daleko“.

Jakże proroctwami były te wyrazy! Nie wbijają go jednak w dumę.

Gdy ojciec prof. Łuszczkiewicza zażądał od niego przery-



„WARSZAWA” TRZY STANY.

sowania hetmana na koniu, według rysunku Orłowskiego, jednego z dawniejszych malarzy polskich:

— Prawda, że ty to zrobisz lepiej?—zagadnął chłopca.

— Nie wiem — odpowiada skromnie młodzieńcy artysta.

Ta wieczna niepewność, wieczne powątpiewanie w swoje siły—to cecha prawdziwie wielkich talentów i wielkich dusz. Wieczne dążenie do szczytów i niepewność, czy się ich doścignie i tęsknota za tem niedościgniem.

„Rysuje, a raczej maluję teraz Czerkiesia z dwoma schwytanymi jeńcami rosyjskimi“—pisze dalej. Marzenia i wspomnienia dziecięce, bojowe gawędy ojca — panują jeszcze wszechwładnie w chłopięcej duszy Grottera. Szlachetne walki Czerkiesów z Rosją w obronie swojego kraju podniecały wyobraźnię chłopca i kazały mu niejednokrotnie odtworzać trochę dzikie postacie walecznego plemienia.

Szkoła jednak, a zwłaszcza jej system, znużył prędko młodego zapaleńca. Nie dość mu jaj rozbitych i starych skorup, on pragnie życia, ruchu, słońca! Związany wtedy węzłami przyjaźni z kolegą Andrzejem Grabowskim, wybiega z nim razem po za mury Krakowa, na Błonia, pod romantyczny klasztor zwierzyniecki i tam malują, rysują, co im w oczy wpadnie. Pochyła wierzba, kawał starego muru, koń, człowiek — wszystko ciągnie ich oczy i raduje serca, bo to jest—natura, ta wielka mistrzyni, ten najdoskonalszy z nauczycieli!

Ciche, księżycowe wieczory widziały ich błądzących ręką w rękę, pełnych marzeń o sztuce i najczystszych wzruszeń, jakie daje umiłowanie piękna.

Te usiłowania i zapal odbiły się najwidoczniej na pracach obu uczniów. Wyróżnił obu młodzieńców jeden z wy-



bitnych ówczesnych malarzy warszawskich, January Suchodolski.

„Dostałem—píše Grabowski—tego zaszczytu wraz z Grottgerem, że nam obydwom uściśnął ręce i poklepałszy po ramieniu, powiedział:

— Bardzo dobrze, tylko dalej, a z równym zamiłowaniem, jak dotąd“.

Okolo tych dwóch przyjaciół grupuje się całe grono młodych; między nimi Ludwik Wodzicki, późniejszy marszałek sejmowy; Stanisław Tarnowski, późniejszy profesor i rektor wszechnicy jagiellońskiej; Jan Matejko, w tym koleżeńskim kółku poufale Matiarkiem zwany. Rej zaś wodził Zdzisław Suchodolski, syn Januarego, imponujący grupce młodych starszeństwem, pięknym wzrostem, twarzą klasyczną, pewnością siebie i fantazją młodzieńczą. Oto widzimy go w jego studenckim mieszkanku wśród młodych towarzyszy. W kłębach tytoniowego dymu rozsiadło się młode towarzystwo. Ten rysuje na poczekaniu ucieszne postacie znanych osób; Grottger, wierny swym upodobaniom, rzuca na papier obrazy tłumnych bitw; ten śpiewa, ów deklamuje, inni rozprawiają żwawo o rzeczach sztuki i nauki. Gwar i niefrasobliwość młodzieńcza weselość panują wszechwładnie.

A jakie tam bywały przyjęcia, jakie prawdziwie kawalerskie zastawy!

„W mniejszej połowie dość obszernego pokoju—píše Grabowski—stół, w braku obrusa nakryty czystym prześcierałem; na stole dominuje głowa z gipsu Apollina belwederskiego, na niej, niby woal, zarzucona chustka, udrapowana prześlizgnie...“ „głowę Apollina otaczało mnóstwo cygar i tytoniu, cukier w kawałach, na jakimś rysunku rozsypany; sze-

regiem ustawione talerzyki z serem, rogalikami i szynką, a dokoła szklanki, przeznaczone na wieloraką służbę, bo do płukania pędzli przy malowaniu akwareli, do picia wody, herbaty i kawy...“

Na pięć szklanek mieli dwie łyżeczki. Kto niecierpliwszy i na łyżeczkę czekać nie chciał, mieszał herbatę ołówkiem lub pędzlem. Nie brakło tam i nadłamanych krzeseł, i trupiej główki, i różnych części garderoby, rozrzuconych w małowniczym nieładzie.

Bawiono się cudownie w tym studencko-artystycznym otoczeniu, ale i rozprawiano poważnie, z ogniem i zapalem; ścierały się zdania, urabiały sądy, walił stary świat, urastał nowy...

„Dalej z posad bryło świata, nowemi cię pchniemy tory!“

I snąc zajmujące musiały być te wieczory młodzieży, skoro odwiedzali je tacy ludzie, jak znakomici poeci polscy: Wincenty Pol i Lucjan Siemieński, jak profesor Łuszczkiewicz, który wysoko cenił i otwarcie sprzyjał tej garstce zapaleńców.

— Oto siedzicie tu i pracujecie bez rezultatów — rzekł kiedyś do uczniów szkoły Sztuk Pięknych — a tamci robią znakomite postępy.

Palily się głowy, płonęły serca.

Młodziutki Artur znajduje w tym kole koleżeńskim to, czego mu brakło w szkole; żywość jego i zapal, półdzieńca szczerość, jedna mu serca. Koło przyjaciół i znajomych zwiększa się i nieźle składa się życie pomiędzy pracą a koleżeńskimi uciechami, gdy oto spada cios niespodziewany! Ojciec ukochany, pierwszy jego przewodnik na drodze sztuki, umiera śmiercią straszną, ukąszony przez wściegłego ko-

nia. Siedemnastoletni chłopiec staje się doradcą i powiernikiem stroskanej matki, mentorem rodzeństwa, a w przyszłości, jak zobaczymy i podporą ich materialną.

* * *

Z wiosną 1854 r. opuszcza Grottger Kraków i udaje się na kilkomiesięczny pobyt do Lwowa. Tylko kilka miesięcy! Ale krótki ten czas zaznacza się wyraźnie w życiu Artura. Jak z życiem narodów, tak samo bywa i z życiem pojedynczych ludzi, a zwłaszcza artystów. Lata przechodzą, nie dając nic, lub prawie nic, a przyjdzie parę miesięcy, tygodni, dni nawet, — tak bogatych w rezultaty, lub tak niezwykle przeżytych, iż za lata starczą.

W ciągu tych kilku miesięcy przeżywa młody artysta rozkoszne godziny, w otoczeniu rodziny, w towarzystwie: „najmilszego Papcia“, jak zwykł był poufale zwać hr. Pappenheima, w kole kolegów i znajomych. Czas ma całkowicie zapelniony, dzieląc go pomiędzy zabawę, a pilną i wyteżoną pracę artystyczną.

Jakiż był dorobek z epoki owych lwowskich wywczasów?

Oto cały szereg obrazków akwarelowych, szkiców ołówkowych, rozmaite potyczki, utarczki, Beduini, dalej — próby portretowe, między innymi: portret konny p. Turkullówny, nad którym utyskuje, iż jeszcze nigdy nie tak mi się źle nie wiodło — a w końcu wykrzykuje radośnie: „O, Boże! jakżem ja szczęśliwy, że ją podobną zrobił“.

Jak szczerze i prosto wypowiada Grottger to uczucie niepewności, przechodzenie od zwątpienia do nadziei, w chwili powstawania nowego dzieła.

Z tego też czasu zanotować należy scenkę zbiorową p. t.



„WARSZAWA” ZAMKNIĘCIE KOŚCIOŁÓW.

„Pielgrzymka do Chodowic“. Jest to cała kompozycja, z końmi, powozem i całym towarzystwem pań i panów, w charakterystycznych, ówczesnych strojach i z postacią samego autora tej pracy w chwili, gdy ją wykonywa, siedząc z albumem w ręku u brzegu drogi.

„Z obrazka, przedstawiającego kilku Szwedów, napadniętych przez kilku Polaków, jestem zadowolony, ale z lasem sosnowym w tyle nie umiem sobie poradzić“.

Grottger nie był malarzem krajobrazów z natury swojej, ale malarzem człowieka i jego duszy. Tutaj więc napotyka na trudności i czuje swoje braki. Robi nawet ciekawe doświadczenia, pracując na wspólną z malarzem Raczyńskim, który mu malował niebo i odległość, a on „wałnął mu Kościuszkę na koniu“. Kiedy indziej — zamek na górze, konia, Tatara lub kontuszowca. Brak ten, który odczuwał, jakże znakomicie pokonał w późniejszych swoich pracach!

W owej to epoce lwowskiej rozpoczął Grottger pisanie dziennika, który prowadzi przez lat cztery, spowiadając się szczerze ze swoich uczuć, obaw, niepowodzeń i radości. Zapisuje dochody i wydatki, za te ostatnie łącząc się nieraz surowo; notuje swoje niedomagania fizyczne, którym wątły i słabego zdrowia często podlegał. Z kartek tych wyziera cały żywy człowiek; jak w zwierciadle — odbija się prawdziwe młodzieńcze oblicze Grottgera, ze wszystkimi zaletami tego, czem jako człowiek miał się stać w przyszłości, z temi właściwościami, które mu były szczęściem i biedą, smutkiem i weselem.

Przyjrzyjmy się tym kilku cechom, które w tym właśnie okresie z dziwną występują wyrazistością.

Oto widzimy go w gronie kolegów, gdy ochota dochodzi

Siedzi



do szczytu, gdy, jak uczniowie na wakacjach: „jeden wyłazi na drugiego i skacze na ziemię wśród wesołego gwaru i głośnych śmiechów“. Potem gawędy bez końca, figle studenckie, szklaneczka „doskonałego miodku“ w wesołej kompanii. A potem—wieczorek u „cioci Olesi“ siostry „kochanej mameczki“, gdzie ten najsmutniejszy z artystów bawi się niefrasobliwie.

„Tańcowałem, jak szalony!—pisze—spocitem się, jak mysz! O, Boże! może już nieprędko będę tak tańczył w gronie familijnem...“

Oto jedno oblicze Grottgera, coś z dziecka, z chłopięcej swawoli i młodzieńczej ochoty.

„Hej! użyjmy żywota!...“

„Ależ to piękna! ta panna Helena!—pisze gdzieindziej—ale to nie Halcia!“

Otóż to! Była więc i panna Helena, i Halcia, i pani K. „jakoś dziwnie przyciągająca“ i bardzo przyjemna „Adziunia“. Było ich i więcej, z którymi tańczył, spacerował, które portretował i z uniesieniem opisywał.

I cóż w tem dziwnego? Wrażliwy na wszelkie piękno, musiał je dostrzegać w uroczej twarzy kobiecej. Uczucie prawdziwe, głębokie, jedyne, przyjsć miało później,—zbyt późno—tymczasem zaś wybujała drażliwość każe mu zmieniać dość często przedmiot swych młodzieńczych marzeń, do piękna, zakłętego w twarz kobiecą, modlić się, jak do bóstwa.

To drugie oblicze Grottgera—młodzieńca.

„Postaci twojej zazdroszczą anieli!...“

„Po obiedzie chodzę niekiedy do cukierni, gdy mam pieniądze, a jedząc ciasteczka, bawię się w politykę“. A pieniądze miewał teraz sporo, dzięki kilku sprzedanym obrazkom, kilku zamówieniom, przy poparciu Pappenheima. Ale grosz zarobiony dziwnie łatwo uciekał z otwartej dla wszystkich dłoni artysty. Były to „cygarka“ i „likierek“, był teatr, upominki, „suta funda“, wyprawiona kolegom.

Aby dziś było wesoło i „pięknie“, a jutro?—jakoś to będzie. Kilkanaście zarobionych florenów urastało w wyobraźni chłopca do sum niewyczerpanych.

Serdeczny kolega Grabowski jest w biedzie.

„To strach, co ja zrobię z tym biedakiem!—woła Grottger.—O, Boże! zapomnij o moich przewinieniach, a dopomóż mi, abym mógł Grabowskiego wesprzeć i zabrać ze sobą do Wiednia“.

Szlachetny poryw serca, ale sprostać mu nie może studencka kieszeń, z której wyfrunęły wszystkie floreny, zanim Artur gościnny Lwów opuścił.

To trzecie oblicze Grottgera. Nieopatrzność, tak często cechująca artystów.

„Lekko odpywał ciężko zarobiony grosz“.

...„my artyści,

„My—którym nieraz na chleb braknie suchy.

„My do jesiennych tak podobni liści...“

Wydawał, rozpraszał, ale swoje własne, zarobione. W młodej duszy urasta poczucie własnej godności. Oto kiedyś „ciocia Olesia“, u której mieszkał podczas swego pobytu we Lwowie „zaczęła sobie drwić ze mnie—pisze w dzienniczku— a ja uniosłem się i podziękowałem jej za dom. Bo chleb,

ofiarowany mi z przyjaźni, przyjmę z podziękowaniem—ale kto mi go zechce dać z łaski, niech sobie zatrzyma, bo ja go nie przyjmę. Nie chcę łaski, nie proszę o nią!

Oto rzeczy spakowane, inne mieszkanie wynalezione.

Urażony w swej godności chłopiec wynosi się od „cioci Olesi“. Oczywiście w domu poruszenie, niepokój, co będzie, co zrobi zagniewany „Acio“, co w nim zwycięży?

I zwyciężyło uczucie serdeczne. „Poszedłem i przeprosiłem wuja i ciocię. Wybeczałem się, jak już dawno nie pamiętam i znowum się rozpakowałem“.

Dobiegają końca rozkoszne dni pobytu we Lwowie. Odprowadzony przez rodzinę, obdarzony przez dziadka „ogromną fajką“—odjeżdża, polykając łzy, i przyznając się z dumą, iż dopiero wtenczas „beczał“, kiedy wagon z miejsca ruszył.

Jeszcze kilka dni pobytu w Krakowie! Zachwyty nad boskością natury „pięknej Halki“, rozprawy nieskończone z kolegami o powołaniu artysty, sławie i ideałach; wieczorek, gdzie tańczy „na zabój“ — „funda“, wyprawiona kolegom i — wyrusza Grottger „z rozdartem sercem“ i paczką „ślicznych“ listów polecających do Wiednia, gdzie sążone mu było spędzić kawał życia, bo aż lat ro przeszło, okresu najbogatszego w plony. Tam, na tej obcej, dalekiej ziemi, stworzył większość dzieł tak drogich i blizkich każdemu polskiemu sercu.

II.

„Żeby oni wiedzieli, jak ja bieduję!“ W tych kilku wyrazach da się streścić historia pierwszego roku pobytu Grottgera w Wiedniu. Istotnie, była to ciągła, bezustanna walka z niedostatkiem. Smagał go bezlitośnie głód i chłód, a mło-



PLAC ZYGMUNTA III.

Atene Grotger, wspaniały obraz Plac Zygmunt III.



dość, a dusza, pełna artystycznych zapalów, wołała o swoje prawa do życia i rozwoju.

W małym pokoiku na ul. Neumarkt mróz przejmuje do kości, woda w lód się ścina, ze zgrabiałych i odmrożonych palców wysuwa się ołówek i pędzel. Jakże tu pracować, jak robić postępy? Lepiej już, otuliwszy się w koldrę i zniszczone futerko, „uciąć szpaczka“, żeby zapomnieć nietylko o chłodzie, ale i o pustym żołądku. Jedyne ratunkiem są cygara i rozkoszny dym fajeczki, którym się głód oszukuje. Gorzej jeszcze, gdy i tego zabraknie.

„Oj, bieda, bieda;— pisze smutnie — niema na tytoń, niema na cygara, a to jedyna ucieczka, kiedy się jeść chce“. W celu wyjścia z kłopotliwego położenia wpada biedny na różne genialne pomysły: — „kupię sobie tabaki; jak mi się jeść zachce, to zażyję“.

„Zaczynam robić różne doświadczenia — pisze gdzieś — i uzupełnię się od śniadania odzwyczajam“. Wszystkie jednak te niezwykle pomysły nie karmiły, nie dodawały sił zwątląlemu ciału, w którym, pomimo wszystko, żył duch pełen zapala i fantazji młodzieńczej.

Z jakim bo niezrównanym humorem opisuje przeprowadzkę jednego z kolegów, w której sam czynny brał udział; jak to: „Kalaj¹⁾ niósł naprzód swój instrument i poduszkę pod pachą, a w rękę lampę. Ja niosłem książki na pasku, a pod pachą duży pugilares z różnymi gratami. Ostrowski²⁾ — ogromnej wielkości rulon z rysunkami, z którego sterczał olbrzymi parasol...“ jak to oglądali się za nimi prze-

¹⁾ Kolega-muzyk.

²⁾ Leon Ostrowski — kolega malarz.

chodnie, zadziwieni tym niebywałym pochodem; jak wreszcie, gdy zimno mu było „jak sto djabłów“ uciekał do biblioteki publicznej, gdzie przesiadywał całe godziny w dobrze ogrzanej sali.

Ach, a owe „śliczne“ listy polecające! wszakże zabrał ich pokazną paczkę z Krakowa. Smutne i bezskuteczne wędrówki. Pooddawał je, przyjęty zyczliwie tu i owdzie, żywił pewne nieśmiałe nadzieje, iż ktoś zainteresuje się losem jego — dziecka prawie, — rzuconego na bruk wielkiego, obcego miasta. Myślał, iż ktoś mu dopomoże, nie jałmużną bynajmniej, ale ułatwieniem zbycia którejkolwiek z prac malowanych lub rysowanych, w których już wówczas znać było niepospolity talent. Wszystko zawiodło. Jakby los się sprzyścił. Nikt nie śpieszył z pomocą, a delikatny chłopiec w szlachetnem poczuciu godności prosić nie umiał i nie chciał. I wtedy to wyrывa mu się okrzyk rozpaczny:

„Wróciłem, straciwszy ostatnią nadzieję“.

Była to zaiste krzyżowa droga owe pierwsze czasy wiedeńskie, które jednego by rozgoryczyły, drugiego odepehnęły od sztuki, innego — upodliły. Jasna, pełna zapachu, czysta dusza Grottgera zwycięsko wychodzi z tych zapasów. Ope-dzając się, jak może, biedzie, nie zaniedbuje pracy nad sobą. Odwiedza pilnie wiedeńskie galerje obrazów i muzea, unosząc się nad pięknosciami dzieł, które widzi; bez cienia zawiści zachwyca się pracami swoich mistrzów i starszych kolegów. Maluje bardzo usilnie w akademii, a w domu obra-bia swoje ulubione tematy. Są więc na sztalugach coraz nowe szturmy, oblężenia i potyczki, Czerkiesi, jeźdźcy na koniach i polowania. Niektóre z tych prac sprzedaje z bólem serca kupcom obrazów, biorąc za nie po kilka florenów.

Aby żyć, aby przetrwać.

Różnemi drogami chodzą losy artystów, ale w zapasach z życiem giną tylko miernoty; talenta i geniusze nieraz w przeciwnościach życia czerpią podniecie do swojej pracy artystycznej. Kto wie, czy nie w tych zapasach leży tajemnica twórczości.

Przeciwności jednak, które spotykały młodziutkiego Artu-ra były istotnie za ciężkie na jego dziecięce barki. Skarży się też nieraz gorzko i żałośnie. I tak trwało, i schodziły dnie za dniami, podobne do siebie, jak szare ziarnka różańca.

Ale oto obraz się zmienia.

W wykwintnej, pierwszorzędnej restauracji siedzi nasz młody artysta, zając „najwyborniejsze, najpyszniejsze rzeczy“, pijąc doskonale wino i paląc cygara. Obok niego elegancki oficer cudzoziemiec. Rozmowa toczy się żywo i wesoło. Co się stało? Oto bogatemu oficerkowi przyszła fantazja zabawienia się w artystę i jako mistrza obiera sobie młodziutkiego Grottgera. Lekcje też to były — pozał się, Boże! Raz w dzień, drugi raz w nocy, kiedyindziej — późnym wieczorem, przeplatane muzyką lub rozmową, ot, tak, jak przyszła ochota wesołemu paniczowi. Czasem udają się razem na obiad lub kolację, czasem do sali gry, gdzie Saint Clair grał, wygrywał lub przegrywał, jak się zdarzyło, a Grottger patrzył i w czystej jego naturze budził się wstręt i niechęć do tego „paskudztwa“.

Nieporządne to życie nie wpływało bynajmniej dodatnio na młodego chłopca. Czas uciekał, dnie pracy przechodziły beczynnje po nocnej hulance.

„O, szkoda dnia, co tak próżno przeszedł“—pisze w swoim dzienniku.

Na szczęście hulaszcy paniczek zostaje wezwany przez władze wojskowe i uwalnia Artura od niepożądanego dla jego przyszłości towarzystwa. Idzie więc znowu okres wytężonej pracy, znów „rajtary niemieckie“, forpoczty, górale, a wreszcie studjum głowy, którą profesorowie uznają za najlepszą z pomiędzy wszystkich prac uczniów akademii. Tryumf to był nie lada i ostroga do dalszych wysiłków.

Ale pusta kieszeń zmusza do imania się jakiegokolwiek zarobkowej pracy. Podejmuje wtedy Grottger pracę, przerażającą jego młode siły, i ilustruje poemat dramatyczny Boloz Antoniewicza, p. t. „Anna Oświęcimówna“.

Nie mogąc podolać trudnemu zadaniu, wpada mimowoli w sztuczny, teatralny układ, wzoruje się po prostu na obrazach scenicznych, które miewa często przed oczyma, jako wielbiciel teatru i stały jego bywalec. W każdym razie młodzieńcze to i niedoskonałe dzieło jest pierwszą ilustracją Grottgera, ujętą w szereg obrazów, ujawnia przytem jego teatralne zamiłowania, które odbiły się później w ilustracji do Marji Stuart Szyllera i Fausta Goethego. Zaznacza się wreszcie jeszcze kilkakrotnie i w różnej formie w ciągu życia tego artysty.

Rok szkolny ukończony i wakacje w kraju, które przyniosą cały szereg prac samodzielnych z natury lub kompozycji, na naturze wzorowanych.

Oto „Sprzedaż konia w Śledziejowicach“. Cztery żydki sprzedają konia dwom szlachcom. Jeden objężdża szkapę, inni pomagają mu, klusując i galopując obok, jakby zabiedzoną kobyłę chcieli przynaglić do szybszego biegu.



„POLONIA“ — KUŹNIA.

Jest w tym niepretensjonalnym obrazku wyraz prostoty i humor pogodny.

Tak, i humorystyka miała w Grottgerze niepośledniego ilustratora. W parę lat później wykonywa szereg rysuneków, p. t. „Sprawunki“, gdzie Munieczka (siostra Grottgera) i pani Paulina w bombiastych ówczesną modą sukniach obchodzą magazyny, podziwiając kapelusze i mantylki, poszukując najpiękniejszych. Drugi taki szereg obrazków przedstawia przygody autora i kolegi Marcelego Maszkowskiego, a nosi tytuł:—„Przygody karnawałowe“. Ten ton wesołego humoru odzywa się niejednokrotnie w twórczości Grottgera: czy to rysuje muzykantów, żydków pejsatych, czy „familijną“ brykę, pełną tobołków i dwóch imości, okutanych w futra i zawiesiste kaptury, czy wreszcie kolegę, który śpi smacznie, śmiesznie utknąwszy nosem w poduszkę. Ze wszystkich tych rysuneków rzucanych od niechcienia wзира uśmiechnięte oblicze „Acia“, a każdy z powodzeniem mógłby stanąć obok znanych powszechnie rysunków humorystycznych Kostrzewskiego, przewyższając je wykwintem linii rysunkowej.

Więc to jest Grottger? te śmieszne rysunekki pełne wery i humoru? Tak, to jest także Grottger, jeszcze jeden Grottger, jeszcze jedno jego artystyczne oblicze, w którym próżnobyśmy się dopatrywali przyszłego twórcy tragicznej Polonii i Wojny.

Na jesień znów znajdujemy Grottgera w Wiedniu, pracującego i walczącego z losem swoim. W każdym bądź razie te następne parę lat przechodzi stosunkowo lepiej. Nieoszacowany opiekun, Pappenheim, odwiedza kilkakrotnie Wiedeń i, przyjrawszy się bliżej oplakanemu losowi ulubieńca, roz-

tacza nad nim ojcowską niemal opiekę. A jak wierzył głęboko w przyszłe posłannictwo Grottgera, jako artysty, dowodzą słowa jego listu, który pisał do Artura w odpowiedzi na przeproszenie za długą przerwę w korespondencji.

„Pełni talentu, genialni ludzie, nie zawsze się mogą na-giać do form codziennego życia. Znam pana jako dobrego, niezrównanego człowieka i z pewnością źle o tobie nie myślę“.

Grottger natomiast myślał wówczas o sobie wiele i myślał jak najsurowszy sędzia, zapisując w nieocenionym dzienniku ową samokrytykę: „Przeklęty, przebrzydły jestem z moimi słabościami i nalogami. Nie mam charakteru stałego, nie mam mocy nad sobą—lada głupstwo mnie znęci...“

W namiętnej tem wyznaniu wychodzi na jaw cała wybuchowość jego temperamentu, która objawia się wszędzie: w pracy, miłości, zachwytach tego siedemnastoletniego dziecka prawie.

W Wiedniu występuje niemłoda już znakomita aktorka Ristori. „O, Ristori!—pisze Grottger—ty bogini!... nie mam słów, ażeby ją opisać—ją i jej grę“.

Bardzo muzykalny — przepada za muzyką, upaja się nią; ta „muzyka niewidziana i niesłyszana“, jest dla niego źródłem szczęścia i zachwytu, a gdy zdarzy mu się zobaczyć ładną twarzyczkę, składa przed nią ręce:—„jej uśmiech boski, jej śliczne, duże, niebieskie oczy tak mnie ciągną, że sobie rady dać nie mogę“.

Każdemu nowemu wrażeniu oddaje się bezwzględnie i niepodzielnie.

Ale „nieoszacowany Papcio“ czuwa. „Pracuj!“ — powtarza w każdym liście i zarzuca chłopca zamówieniami, co

zmusza młodego zapaleńca do sumiennej i wytrwałej pracy. Mamy więc z tego czasu szereg wybornych portretów koni, oraz portret konny Pappenheima, gdzie koń i człowiek o wiele jest doskonalszy niż sztuczny trochę krajobraz. Po doskonałym Czerkiesie, trzymającym konia za uzdę, następują ilustracje do Konrada Wallenroda, wysłane na wystawę do Krakowa i dość nieufnie przyjęte przez krytyków; a dalej ilustracja do wiersza Szyllera, p. t. „Godność kobiety“ (Würde der Frauen). I dziwna! jakby niemiecki duch poety spłynął na polskiego artystę; daje nam kompozycję ładną w pomysle, ale jakże obcą w układzie i wykonaniu! Są to cztery grupy, oplecione lekko i misternie gałęziami winnemi; układ bardzo rozpowszechniony w niemieckiej ilustracji.

W tym też roku kończy Grottger kurs wstępny akademji. Kurs, oznaczony wogóle na lat cztery, młody nasz artysta kończy w dwa i pół roku i przechodzi na kurs wyższy, pod kierunek dyrektora Rubena.

* * *

Na wiosnę roku następnego hr. Pappenheim znów zawiątał do Wiednia i strapił się mocno, nie zastawszy Grottgera. Zdumiony i oburzony pisze do niego do Krakowa, wyrzucając mu, iż zapomina o sztuce i obowiązkach. Wyrzuty zacnego opiekuna okazały się na ten raz niesłusznymi, bo właśnie wtedy, pełnoletności zaledwie dobiegający młodzieniec, zdobył się na dzieło wielkiej wagi w jego działalności artystycznej i dzieło to, niezrażony przeszłorocznym niepowodzeniem, zawiązał sam na wystawę do Krakowa.

Są to cztery akwarelle zatytułowane „Szkoła szlachecka polskiego“. Pierwszy w twórczości Grottgera oryginalnie

pomyślany cykl, czyli szereg obrazów, wiążących się ze sobą treścią. Ten sposób ujęcia swego pomysłu zastosował Grottger po raz pierwszy; był to więc pewien zwrot, który następnie rozwinął się i spotężniał wtedy, gdy tworzył najwspanialsze swoje dzieła z ostatnich lat kilku.

Pierwszy obraz „Szkoly szlalcica polskiego“ — zatytułowany „Strzelanie z łuku“ — przedstawia dwoje polskich pachołat, zajętych rycerską zabawą, mierzących z łuku do ustawionego celu. Drugi obraz: na tle staroświeckiego dworu wyrostek w kontusiku wysłuchuje z pokorą, widoczną w spuszczonej oczach i pełnej kłopotliwego zmieszania pozie, surowej nagany pana ojca. Trzeci: — młodzieniec w pełnym rycerskim uzbrojeniu wstrzymuje niecierpliwie rwącego się konia, już sam gotów w bój skoczyć, już trzymając gotową, obnażoną szablę, słucha ostatnich rad bojowych jadącego obok ojca. Czwarty wreszcie: — starzec, chwalebniemi ranami okryty, spoczywa pod drzewem, opodal pola bitwy; ostatnie spojrzenie zwraca na syna, osłabłą ręką ostatnie daje błogosławieństwo. Szkoła rycerza polskiego! dziedzictwo z ojca na syna, ofiara z krwi i żywota.

Cykl ten nie jest już ilustracją cudzego pomysłu, jak np. szereg obrazków do *Anny Oświęcimówny*, lub *Konrada Walenroda*, ale jest odtworzeniem własnych myśli Grottgera, własnych jego ideałów i umiłowań; jest on tutaj twórcą w całej pełni. Równocześnie wystawił Grottger obraz p. t. „Pobudka“, gdzie przedstawił grupę rycerstwa, obozującą pod lasem, a budzącą się na dźwięk pobudki.

Obie te prace, wystawione w Krakowie, zyskały uznanie krytyki i publiczności, którą treść swojska w połączeniu z właściwą Grottgerowi siłą wyrazu chwytala za serce.



„POLONIA“ — BÓJ.

Z tegoż roku pochodzą niezmiernie ciekawe główki akwarellowe, gdzie uwydatnia się właściwa Grottggerowi zdolność podchwytywania wyrazu twarzy na gorącym uczynku. Takim też wyrazem odznacza się portret własny w całej figurze: na tle pracowni i rozstawionych sztalug wysmukły chłopiec w fezie na głowie, w długich butach i z fajeczką w zębach; ręce zasunięte w wiecznie puste kieszenie, młodzieńcza, bezwasa twarz i filuterny wyraz oczu — stawia nam żywo przed oczy owego „Aciunia“ z Ottyniowic, gdy z szeroko rozwartymi oczyma słuchał opowieści bojowych i tego, co we Lwowie „tańczył jak szalony“ i obrażał się na „ciocię Olesię“ i tego, co w Wiedniu, przymierając głodem „śmieje się do rozpuku“ i wyprawia „brewerję“. To jeszcze ten sam Grottgger, z którym poczciwy pułkownik ciągle ma utrapienia.

Ot i teraz pisze list za listem, burząc nieokiełznanego pupila i zapewniając, że gdyby go nie miał za dobrego i poczciwego w głębi duszy, nie pisał by tak do niego. Spłaca potem jego długi, wyjednywa przebaczenie dyrektora akademii, Rubena, słusznie urażonego, iż uczeń uszedł samowolnie w ciągu roku szkolnego i wreszcie z wielkim mozolem sprowadza winowajcę, już z końcem wiosny, na powrót do Wiednia, aby go niebawem na czas miesięcy letnich wyprawić do Monachjum na otwierającą się właśnie wystawę sztuki niemieckiej.

Zanim to jednak nastąpi maluje Grottgger drugi cykl p. t. „Trzy dni z życia polskiego szlachcica“, przedstawiając na nim: pożegnanie przed wyprawą, walkę i śmierć na polu bitwy.



Kto zna Monachjum, ten wie, jak z tą uroczą, dobroduszną stolicą Bawarii łatwo się żyć cudzoziemcowi, a zwłaszcza artyście, który czuje odrazu, iż jest to jedno z jego gniazd, do którego chętnie powraca. W czasie, o którym mowa, bawiła tam dość liczna kolonja młodych polskich artystów i studentów. Grottger poczuł się odrazu otoczony atmosferą życzliwości i sympatji. Wędrówki po muzeach, po mieście, przerywają wesołe koleżeńskie zebrania, których duszą był Grottger, ozlaczając je swoją wrodzoną żywością i niespożytym, tryskającym iskrami dowcipu humorem. A lgnęli do niego wszyscy, jakby przeczuwając, iż jest on w ich gronie tą gwiazdą, która zabłyśnie kiedyś pierwszorzędnym blaskiem.

Miejscem jednak uprzywilejowanym, gdzie najczęściej dąży młode grono, jest owa świeżo otwarta wystawa sztuki niemieckiej. Znajdowano tam rzeczy znane i nieznanne, autorów nowych i dawniejszych.

Cóż z tych wielu nagromadzonych dzieł przemówiło najsilniej do wyobraźni Grottgera? Jaki kierunek zastanowił go najgłębiej? Oto Kaulbach i jego wielkie kartony:— „Prawodawcy“, „Zburzenie wieży Babel“; oto cykle ilustracyjne do poematów; oto wreszcie cykl Schwinda do poetycznej baśni ludowej „O siedmiu krukach“.

Kompozycje figuralne, cykle. Czyż nie to właśnie jest droga, na którą wstąpił Grottger i po której idzie coraz pewniejszym krokiem? Karton, czyli rysunek jednobarwny, czyż nie jest to rodzaj, który sobie w przyszłości upodoba, skoro dziś już pisze w liście do Marcelego Maszkowskiego: „ach, a karton robić, jest coś tak przyjemnego, że tego nawet z obrazu malowaniem porównać nie można“.

W tych wyrazach jest zapowiedź kierunku, który w przyszłości stanie się jego drogą do sławy.

Każdy obraz swojej „Baśni“ ujął Schwind w ramy architektoniczne, bogato ozdabiane. A teraz przyjrzyjmy się kompozycji Grottgera, wykonanej w Monachjum, a zatytułowanej podobnie jak jedna z prac poprzednich: „Trzy dni z życia szlachcica polskiego“, a raczej „Trzy dni z życia rycerza“. Każdy obraz ma swój osobny tytuł: „Wczoraj“, „Dziś“ i „Jutro“. Treść prawie ta sama, co w poprzednim cyklu; ostatni tylko obraz, odmienny, przedstawia ukazanie się ducha zabitego rycerza opuszczonej kochance. Ten ostatni pomysł, o ile głębiej, prościej i samodzielniej odtworzył Grottger w późniejszej Lituanii!

Wszystkie te trzy obrazy wstawił Grottger wzorem Schwinda w ramy architektoniczne, i wogóle cały charakter kompozycji ma cechy zapatrzenia się na obce wzory. Nie ujmuje to wartości temu ślicznemu tryptykowi¹⁾, pełnemu życia i wyrazu. Są tu wreszcie ciągłe jeszcze próby wyrabiania tego się młodego talentu.

Życie w Monachjum płynie Grottgerowi dość gładko. Jest miłe otoczenie, są zarobki; znowu dzięki opiece „nieocenionego Papcia“, który swego ulubieńca gorąco poleca osiadłej w Bawarii rodzinie swojej. Brat hrabiego szczerze zajmuje się losem Artura i ułatwia mu sprzedaż obrazów. Prace jego trafiają aż do cesarzowej austryjackiej, która nabywa obrazek o bardzo charakterystycznej treści: Artysta i muza, idący po drodze ciernistej.

Artysta i muza! Jakby pierwszy błysk genialnego pomysłu Grottgera z ostatniego jego cyklu „Wojna“.

¹⁾ Tryptyk—trzy obrazy, związane ze sobą treścią.

Mile, jasno, rozkosznie płyną dnie na monachijskim bruku. Przeszedł czas letni, przyszła jesień; w wiedeńskiej szkole artystycznej dawno rozpoczęto pracę, zdolniejsi uczniowie myślą już o wielkich kompozycjach, które mają zabłysnąć na dorocznej wystawie, a Grottgera jak niema tak niema.

„Lieber panie! — pisze zaniepokojony nie na żarty Pappenheim — co się z panem dzieje? czy krakowska katastrofa powtórzy się w Monachjum?“ Zarzuca mu lekkomyślność, słabość, chwiejność w postanowieniach. „Czy mam stracić wiarę w pański charakter? Gdzie przyrzeczenia dane dyrektorowi?“

Ha, no! czas wracać. Koło połowy grudnia wyrusza Grottger z Monachjum. Jadąc rzemiennym dyszlem zawadza o Salzburg, gdzie ugrzązł na czas jakiś, robiąc długi i płacąc je swemi pracami na poczekaniu. W Linz powtarza się też sama historia. Za nieszczęsnym lekkoduchem gonią desperackie listy Pappenheima, gonią zasiłki pieniężne.

Pamiętką tej awanturniczej drogi i jakby aktem przeprosin jest śliczna okładka do kalendarza, którą Grottger wykonał w Linz, przeznaczając ją w darze dla hrabiego. Wiedział, czem go ująć może, czem najprędzej przebłagać. A jest tam i on sam w obrazku środkowym, bardzo pilny przy rozstawionej sztaludze i przezacny Bawar, najwyraźniej napominający swego niesfornego ulubieńca. Wokoło cztery pełne życia sceny z polowania, i cztery narożniki, zamknięte kolistemi ramami, a wypełnione scenami wojennymi. Wszystko to, w czem ma upodobanie wojak i potomek możnego rodu. A w górze, z okienka półkolistego, jak chochlik filuterny wygląda uśmiechnięta twarz winowajcy.

Dobiwszy wreszcie do Wiednia udaje się skruszony grze-



ŚMIERĆ BOREJSZY



sznik do mieszkania hrabiego i, nie wchodząc do środka, posyła przez lokaja swoją laskę, jako znak pokory. Pappenheim uradowany i rozczulony wybiega na spotkanie i, uderzywszy go żartobliwie laską na znak kary i przebaczenia, ściska serdecznie i ułatwia ponowne zagospodarowanie się w Wiedniu.

Dziwne było istotnie i wzruszające to uczucie człowieka, nie związanego ani węzłami krwi, ani narodowości, ani pochodzenia. Wiara jego w gwiazdę Grottgera była tak silną, iż drżał prosto o losy młodzieńca, niepokoił każdym niepowodzeniem, czuwał nad każdym krokiem, przebaczał wszystko.

A Grottger, jakby czując swoją winę, przedzierzga się odrazu w „grzecznego chłopczyka“ i bardzo pilnie i potulnie zabiera się do pracy. Trzeba zdążyć na oznaczony termin, na ową popisową wystawę prac uczniów akademii.

Zajrzyjmy do pracowni Grottgera i zobaczymy, czem chce zadziwić „pocziwego Rubena“ i cały zespół profesorski.

Oto na tle krajobrazu, dla którego zaczyna Grottger znajdować dość czyste i jasne barwy, spotykają się dwa orszaki: husarja polska i wojsko austriackie. Na czele polskich zastępów — Jan III Sobieski; na czele austriaków — cesarz Leopold. Zjechali się — historyczny ukłon zamieniony między obrońcą Wiednia, a cesarzem. Doskonale w ruchu konie i tłum nadjeżdżającego rycerstwa.

Piękny, ciekawy i poprawnie malowany obraz, ale obok coś piękniejszego — szkic, pierwszy projekt do tegoż obrazu. Główne postacie zajmują całą prawie przestrzeń obrazu, mało tłumy, za to co za ruch koni, ile wyrazu w postaci Sobieskiego! jak siedzi na koniu, lekko tylko skłaniając głowę,

dumnym ruchem oddaje konieczny ukłon. Zwycięzca! Ile niepewności i wahania w ukłonie Leopolda!

Szkic zrobił Grottger, jak chciał, obraz—jak chcieli jego kierownicy. Stać go było na obadwa.

Obraz skończył na termin i, ku wielkiej swojej ucieście, a bodaj większej jeszcze „kochanego Papcia“ otrzymuje nagrodę w sumie 300 florenów, po za tem zaś zapłatę za obraz, który nabywa muzeum w Pradze Czeskiej. Tryumf to i zachęta nie lada, a i pomoc materjalna, która pozwala Grottgerowi pracować swobodniej i pozostawić cały szereg główek, dziewczątek i kobietek, pełnych ujmującego wdzięku i wyrazu, z oczyma patrzącemi, jak oczy żywych ludzi.

Dotychczas większość dorobku artystycznego Grottgera to są malowania olejne lub akwarellowe. Rysunków, on, który słynie jako rysownik, o którym ogół inaczej nie słyszał nawet, robi bardzo mało. A malowania jego, zwłaszcza owe główki akwarellowe, to doprawdy małe arcydziełka, jako barwa, zawsze bardzo spokojna i harmonijna, jako lekkość i czystość zarysu liniowego.

Ale oto nadchodzi chwila przelomowa; przychodzi coś, co go skieruje poniekąd na tę drogę, po której szedł do końca swego krótkiego żywota.

Wybucho wojna, wojna pomiędzy Austrią a Włochami, popieranemi przez Francję. Wiedeń żyje wiadomościami z placu boju, mieszkańcy, śledząc z niepokojem losy wojny, rozchwytną dzienniki; zwłaszcza powodzeniem cieszą się dzienniki ilustrowane, gdzie ciekawy wiedeńczyk poszukuje skwapliwie obrazów i scen wojennych. W jednym z poczyniej-

szych wydawnictw ukazuje się duża ilustracja, przedstawiająca „Zdobycie mostu Magenta“; na rogu obrazka dwie splecione ze sobą litery A. G. Tym monogramem pieczętuje Grottger swoje prace, niby najszlachetniejszą z tarcz herbowych. Ruchliwy wydawca czasopisma, Waldheim, poznaje się odrazu na niepospolitym talencie polskiego artysty. Interes wzajemny zawiązuje między Grottgerem a Waldheimem stosunek, który przetrwał lat kilka. Wydawca potrzebuje Grottgera jako młodego, a więc niewymagającego pracownika, Grottger potrzebuje Waldheima, gdyż obstalunki, których mu teraz nie brak, dają mu pewny i stały kawałek chleba.

Nareszcie samodzielny! Nareszcie może stanąć o własnych siłach, nie oglądając się na pomoc z zewnątrz, choćby tak życzliwą, jak Pappenheima. Niezależny! wielkie to słowo dla każdego człowieka. A więc wre praca, każdy tydzień niemal niesie coś nowego. Oto scena walki ulicznej, spotkanie dwóch cesarzów, przybycie jeńców francuskich do Wiednia, tematy jakby umyślnie stworzone dla Grottgera. Człowiek, koń, tłum—to jego żywioł ulubiony.

Pappenheim, pomimo trudów bojowych, które jako pułkownik pełni na froncie, nie przestaje pisywać do Grottgera; zaprasza, by go odwiedził w obozie, obiecując przejażdżki konne, polowanie, kusząc artystę możliwością malowania scen bojowych z natury. Grottger niezawsze zdobywa się na odpowiedź hrabiemu, który niezrażony pisze list za listem do „najlekkomyślniejszego ze wszystkich lekkomyślnych panie“, na przemiany grożąc, prosząc i burcząc wreszcie dobrotliwie, jak najczulszy z ojców. Ale Artur, cały teraz pochłonięty swą zarobkową pracą, na wszelkie zaproszenia odpowiada odmownie listem serdecznym, pełnym werwy, prze-

pełnionym drobnymi rysunekami, w których odzywa się znowu Grottger—humorysta. Na ten raz za przedmiot żartu bierze swoją osobę, przedstawiając się w różnych okolicznościach życia. Rysunkami opowiada, jak to on czyta wiadomości z placu boju, przyczem włosy „dęba“ mu stają z przerażenia, jak to siedzi przy lampie, pracując zawzięcie, jak to z różą w zębach zadaje szyku na ulicach Wiednia, jak wreszcie w wieńcu laurowym na głowie i dyplomem za „Sobieskiego“ pod pachą wychodzi z wystawy, a jako handlarz uliczny zachwala swoje obrazy. List ten musiał sprawić „zacnemu Papciowi“ nie lada uciechę, gdyż jest on, niestety, jedynym, jaki zachował z długoletniej swej korespondencji z Grottgerem.

Nie pojechał więc, nie skusiły go ponętne obietnice hrabiego. Być może, iż w dojrzewającym młodzieńcu budził się coraz silniejszy pęd do samodzielności; być może, iż szczerze i zrozumiale zresztą życzenie Pappenheima, aby Grottgera uczynić malarzem niemieckim, na usługach dworu cesarsko-austrijskiego, nie trafiły do gorąco czującej duszy artysty-Polaka; może była i obawa instynktowna, aby tym wpływom nie uległ; dość, iż pozostał przy swej twardej pracy z cichym marzeniem o tych wolnych chwilach, w których tworzyć będzie dla siebie. Życie dalsze zapowiada się nie najgorzej. Samotność w oddaleniu od ukochanej rodziny zaczyna mu ciążyć, uśmiecha mu się możliwość obcowania z „najdroższymi na świecie osobami“, i oto odwraca się karta jego życia prywatnego.

Dwudziestotrzyletni młodzieniec zakłada dom. W niedużym mieszkanku na Mittersteig ¹⁾ rozgospodarowuje się

¹⁾ Ulica w Wiedniu.



„LITUANIA” — ZNAK.



matka, pani Grottgerowa wraz z „Munieczką“, piękną siostrą Artura.

Ma dom! Ma rodzinę! Serce, zmrożone tułaczką między obcymi, odtajało. Jest to znów dobry okres w życiu Grottgera.

W pracowni na Mittersteig gwarно bywa i wesoło. Gro-no kolegów i przyjaciół toczy ożywione rozprawy. Jest tam Stanisław Tarnowski, malarze Kotsis i Loeffler, jest Marceli Krajewski, są Polacy, bywają i Niemcy, zwabieni rosnącą sławą młodego Polaka. A między nimi i on sam w czamarze i długich butach, szczupły, o twarzy ściągłej, suchej, o długim orlim nosie; nad drobnymi wargami czernieje ma-leńki wąsik. Bardzo wysokie czoło, pod którym jarzą się oczy, wielkie, pełne życia. Takim go widzi polska kolonja, takim go widzi Wiedeń, gdzie młody malarz w charakte-rystycznym swym stroju zaczyna się stawać osobistością ogólnie znaną. I tak, jak ongiś we Lwowie, żyje Grottger życiem gorączkowem. Dnie widzą go pochylonego nad rysunkiem, noce — tańczącego „na zabój“, używającego ży-cia w rozbawionym Wiedniu; a ranki znowu do pracy wo-lają.

Źle jest!

„Jeśli ciało upada pod brzemieniem znojów i niewczasów, to niech je duch mój podźwignie“ — pisze do Andrzeja Gra-bowskiego. I dźwiga się, zrywa, zadając gwałt słabemu cia-łu, „całami kłębami“ połykając zabójczy dym fajczany, w tych sztucznych podnietach gubiąc i odnajdując siebie.

Szalone to życie, gdy spalał się w ogniu zewnętrznych podniet i wewnętrznych zapasów, niszcząc wątłe siły; roz-żarza tem bardziej popęd twórczy, który wypowiada się

w mnóstwie pracy ilustracyjnej dla wydawnictw waldheimowskich, oraz owej wymarzonej pracy „dla siebie“.

Jakże owocnym był ten rok rozerwany i niespokojny! Dziwne to, a jednak prawdziwe. Są artyści, u których iskry twórcze najsilniej wybuchają właśnie w tych chwilach rzadkich, kradzionych pracy przymusowej, w zamęcie gorączkowego życia. Do takich należał Grottger i dalszy ciąg jego życia będzie tylko potwierdzeniem tej prawdy.

Cóż nam pozostawił ten rok, tak blizki już okresu najcudniejszego rozwoju sił twórczych Artura?

W jesieni tegoż roku znalazł się pod Lwowem, w Barszczowicach, u przyjaciół swoich, Maszkowskich. Z tego pobytu uwozi cały szereg studjów głów męskich, biorąc sobie za modele, między innymi, wyraziste twarze całej rodziny Maszkowskich oraz typy ludu okolicznego. A mają tę przygotowania cel swój wyraźny. Dawno już tkwi w głowie Grottgera pomysł do większej kompozycji, do której się zabiera, powróciwszy do Wiednia. Tytuł jej: „Modlitwa konfederatów barskich“. Obraz olejny, który jest jakby zapowiedzią, pierwszym zwiastunem rodzaju, który przeważa w późniejszych pracach Grottgera,—rodzaju, gdzie cała waga leży przedewszystkiem w wyrazie twarzy i postaci.

Jakże wygląda ów znamienity obraz?

Oto wzgórze na skraju lasu; gdzieś tam w dali grają trębaczki, wyjeżdżają oddziały konnicy, furkoczą proporczyki, a na przodzie tłum, klęczący, zamodlony, wpatrzony w sztandar, który ma ich wieść ku niewiadomemu.

Modlitwa konfederatów! — starzec koło pacholecia, męża w sile wieku, pan w kontuszu koło strzelca w kubraku

i chłopca w siermiędze; wszyscy na kolanach, w szeregu prawie jednostajnym. Wielka prostota i spokój w układzie, wszystko uwydatnia się tylko w wyrazach twarzy, przejętych i skupionych, to — w czem do mistrzostwa doszedł Grottger w jednej z ostatnich prac swoich: — „Pochód na Sybir“.

Polskiej wsi, której powietrzem odetchnął na krótko sęskniony, zawdzięczamy przesliczną „Modlitwę rolnika“.

„Zmrok, słońce zasęto we mgły i opary,
Kładzie się dołem cieni-lijowo-szary...“

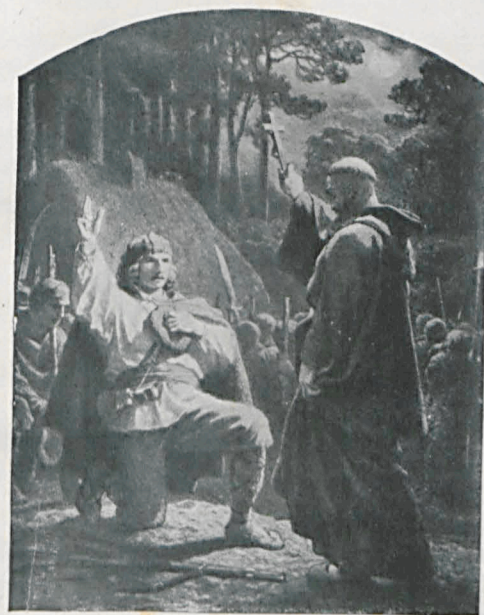
Wzgórze; na nim plóg porzucony i postać chłopca polskiego, który modlitwą żegna dzień uchodzący. Złote niebo, a u góry zwiśla ciężka chmura, cała przepojona gorącą czerwienią zachodu. Z tego dzieła przemawia do nas Grottger-krajobrazista; za wiele było w nim poety, żeby nie przemówiło do niego piękno natury; za wielkim był artystą, żeby nie pokonał pewnych trudności, jakie mu ten właśnie kierunek nastęrczał i żeby nie wyszedł z nich zwycięsko. Kto sądzi, że nastrój, uczucie w krajobrazie jest wynalazkiem ostatnich czasów, niech spojrzy na „Modlitwę rolnika“. A dalej znów tematy z historii naszej: „Ucieczka Henryka Walezjusza“, nabyta do Londynu: trzej jeźdźcy na dzielnych koniach, oglądający się z niepokojem, czy ujsć zdołają przed pogonią; „Zygmunt i Barbara“ złączeni uściskiem.

W starej siedzibie Pappenheimów znajduje się portret naturalnej wielkości do pół figury. Otacza go cześć należąca; raz, że przedstawia hr. Aleksandra Pappenheima, powtóre, że malował go Artur Grottger. O portrecie tym krążą legendy. Jedna opiewa, iż wykonany był w przeciągu 26 go-

dzin, w czym nie byłoby nic nadzwyczajnego, o ile ten czas nie był by jedną dobą. Druga mówi, iż Grottger wymalował go w trzy godziny, co znów zakrawa na bajeczkę, gdyż portret jest skończony do najdrobniejszych szczegółów. Wszystko jedno; — „Kochany Papcio“ stoi na nim jak żywy; czuć w tym przepysznym rysunku, iż podobieństwo musi być uderzające; a któż pyta artystę, jak długo nad swoim dziełem pracował, któż pyta poetę lub powieściopisarza, ile razy kreślił? Chodzi o wynik ostateczny.

I to są owe prace „dla siebie“, wykonane w wolnych chwilach, których doprawdy nigdy niema zawiele. Skończyła się wprawdzie wojna i bojowe tematy, ale pracy nie brakuje. Przedsiębiorczy Waldheim poznał się na nieocenionym pracowniku, jakiego pozyskał w polskim rysowniku i zasypuje go literalnie zamówieniami. Ilustruje więc Grottger powieści, nowele, artykuły bieżące, pracuje już nie w jednym, ale w kilku czasopiśmie. Żeby nie wracać do tego odrębniego bądź co bądź działu pracy, a dać pojęcie czytelnikowi, czem ona była dla rozwoju Grottgera, skończymy z nią na tem miejscu.

Początek tej pracy zarobkowo-ilustracyjnej datuje się, jak wiemy od 1859 r., koniec przypada na r. 1864, czyli okres lat pięciu. W tym to czasie zrobił Grottger przeszło 250 ilustracji! Co za ogrom pracy, zważywszy, iż między temi „obrazkami“, które się z taką łatwością ogląda, znajdują się takie, które obejmują po kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt postaci, jak np. „Pochód Turków na Wiedeń“, „Stadnina węgierska“, „Śmierć Czachowskiego“¹⁾; że jest w tem ilu-



„LITUANIA“ — PRZYSIĘGA.

¹⁾ Dowódzca jednego z oddziałów powstańczych.

strowana „Historja Austrii“, gdzie obowiązywała ścisłość historyczna w odtworzeniu tła obrazów i ubiorów ówczesnych. Przepyszny w wyrazie Galileusz w chwili, gdy mówi swe historyczne słowa „e pur si muovel“¹⁾ „Dzień zaduszny“, „Wianki“, „Zoe“—liryczna scena, przedstawiająca matkę, podnoszącą dziecko do krat więziennych, aby zobaczyło uwięzionego ojca.

Po cóż wymieniać więcej? Cyfry mówią same za siebie; a nam tylko żałować należy, iż te kwiaty talentu nie dla nas kwitły, że zginęły gdzieś na obczyźnie. „Szkoda pereł, które leżą w mórz toni“. Szkoda!

„Praca zarobkowa zabija talent“—twierdzą niektórzy. Otóż nie. Praca przymusowa, to dla niektórych natur podnieta, przelamująca chwile leniwych bezwładów. Są tacy, którzy z miejsca nie ruszą, póki ich mus nie popędzi, a raz ruszywszy, dokonywują rzeczy zdumiewających. Mnóstwo dzieł, znanych i podziwianych dziś jako arcydzieła, było wykonane na zamówienia. Grottger nie należał do typu zdolnych próżniaków, przeciwnie, pracował wogóle dużo, niemniej jednak w ciągu tych lat pięciu dokonał pracy tak ogromnej, jakiej by nigdy z dobrej woli tylko nie podolał. Cóż zyskał na tem, prócz zarobków? Ta praca systematyczna dała mu wprawę po prostu—zdumiewającą. Zarysy, jakie rzucał na papier, były tak pewne, śmiałe, nieomyłne, iż nic w nich do poprawienia nie było, a dowodzą tego jego szkice, które pozostały w wielkiej ilości.

Znajomość znowu techniki barwnej, czyli malarstwa, które również pilnie studjował, nadały jego rysunkom kolor,

¹⁾ „A jednak się porusza!“



czyli mówiąc jaśniej, iż w każdym jego kartonie, wykonanym czy to kredą czarną i białą, czy ołówkiem, czy sepją¹⁾, widać i czuć doskonale, że to, co rysował, miało barwy rozmaite, ciemne i jasne, jak np. włosy blond lub ciemne, suknia jasna, ciemna lub czarna. To odróżnienie zowie się właśnie barwą w rysunku i to w wysokim stopniu posiadał Grottger. Był malarzem nie tylko w swoich obrazach olejnych i akwarelowych, ale i w rysunkach swoich.

Więcej jeszcze jednak niż barwa rzuca się w oczy w kompozycjach Grottgera poczucie rzeźbiarskie. Ileż jest w jego obrazach figur pojedynczych, grup podwójnych lub z kilku postaci, które żywcem można by było przerobić na rzeźbę. I coby to były za rzeźby! Proszę tylko spojrzeć: Karta tytułowa do „Polonii“, „Bój“ z Lituanii, „Wedeta“, „Borejsza“, „Artysta i muza“ z „Wojny“, „Koleśnicy“, „Sybiracy“, niosący krzyż — tylko je kuć w marmurze, tylko odlewać w bronzie! Kompozycje Grottgera czekają tego, kto pokaże światu Grottgera-rzeźbiarza.

W tym wirze pracy i zabaw zbliżają się najważniejsze czasy twórczości Grottgera.

„Uklony pańskiej matce — pisze w r. 1860 Pappenheim — którą proszę, by panu wycięła reprimandę i by z pana zrobiła porządnego człowieka, dotrzymującego słowa; spodziewam się, że i pańska piękna siostrzyczka w tem nam pomoże. Jeżeli więc tak wszyscy perorować będziemy, to może to przecież — na nic się nie przyda“.

I nie bez racji troska się zacny Pappenheim. Nic nie zapowiada, żeby z Grottgera dało się uczynić „porządnego“,

¹⁾ Sepja — farba ciemno-brunatna.

zrównoważonego pracownika, wedle upodobań hrabiego, a na usługach domu jego cesarskiej mości. Myśl Grottgera zwraca się do kraju, oczy patrzą z wyciejeniem ku północnej stronie, ucho chwyta niepokojące odgłosy nadciągającej burzy.

Duszę miał przepełnioną tęsknotą, serce ukochaniem Polski, wyobraźnię pełną mocy twórczej, a rękę wyrobioną i pewną.

Był gotów.

III.

A od Warszawy szły odgłosy najprzód ciche, potem coraz głośniejsze.

Coś się tam działo, zrywało do lotu, wołało głosem wielkim: „Ojczyznę, wolność...“

Pierwsze dreszcze wstrząsają stolicą. Pogrzeb jenerałowej Sowińskiej; kilkonastotysięczny tłum wyległ na ulice — uroczysty, skupiony. W kilka miesięcy później kościoły stolicy przepelnia lud rozmodlony — za ofiary 1831 r., biją dzwony jednym wspólnym tętnem.

Serce Warszawy drgnęło i rozgorzało, jak płomień długo tłumiony. Chwile ekstazy, a potem — grom!

W tłum bezbronny d. 27 lutego 1861 r. padają strzały mordercze. Pięć ofiar i w dni kilka pięć trumien w jednym kondukcie, a za nimi lud warszawski; nie — Warszawa cała w kirach żałobnych.

Czy dość? Nie. 8 kwietnia już ofiar nie rachowano. Było ich zawiele.

A car patrzył ku stolicy. Patrzył i dziwił się.

„Warszawa jedna twojej potędze urąga,
 „Podnosi na cię rękę i koronę ściąga,
 „Koronę Kazimierzów, Chrobrych z twojej głowy,
 „Boś ją ukradł i skrwawił synu Wasilow!”

Ta sama Warszawa z przed lat trzydziestu! Fala powracająca. Nowe pokolenie dorosło do męczeńskiego stosu.

A Grottger słucha pobudek bojowych... nie obce mu, nie obce! Wieczory ottyniowickie, gdy „wichry śpiewały w kominie swoje zwykle, płaczące chorały“, a dzieje powstania listopadowego kołysały wyobraźnię dziecka.

Warszawa! dziwne! Ta obca mu Warszawa, woła doń głosem tak silnym, jak wołanie matki.

Usłyszał ją syn i odrzyknął: „Jestem!”

Jak siedem strof poematu staje przed nami siedem obrazów z czasu tak zwanych „wypadków“ 1861 r.

W pierwszym — przed ołtarzem kościelnym kapłan białą Hostją błogosławi ludowi, a oczy pacholęcia, służącego do mszy, biegną ku świętemu znakowi z wyrazem uniesienia.

Lud, w kościele zamknięty, — one tragiczne, trzydziestogodzinne nieszpory. Patrzą! Matka tuli u kolan dwoje małych dzieci; dziewczątka młode z braciszkiem, starzec zadumany. Oczy kobiety i dziewczęcia patrzą gdzieś w dal, zgrozą zdjęte. Co widzą tam, w głębi kościoła? czy wojsko wchodzące, które będzie się znęcać nad bezbronniymi? Tylko twarz staruszki cicha i spokojna. Jej oczy wyplakane wszystko już widziały.

Pieśń tryumfalna! Zbratanie stanów na pogrzebie biskupa Fijałkowskiego. Oto w środku chłop polski w siermiedze. Twarz ma piastową i piastowską dostojność; trzyma sztandar, „rękami, czarnemi od pluga“. Z obu stron szlachta



NA SYBIRZE.

w kontuszach, o hetmańskich twarzach, podtrzymuje mdlejące ramiona chłopca.

I zaraz dalszy ciąg tego niebywałego konduktu. Trzej żydzi. W środku rabin, w wielkiej lisiej czapie, ocieniającej dziwne, mistyczne oczy, gdzieś patrzące w zaświaty. Twarz proroka z biblij.

Pierwsza ofiara! Jeden z bezimiennych, młodzieniec. Dobrze mierzył najemny morderca. Na piersiach ranka małeńka,—nie potrzeba więcej. Wali się w tył, uderzając głową o mur po za sobą. Zgroza w twarzy, kłęby dymu, ulatująca z głowy konfederatka i upuszczona książka do nabożeństwa. To wszystko. Modlitwę swoją skończy przed Bogiem.

Wdowa! Ileż ich było wówczas! Znów kościół, a raczej jego kruchta. Do żałobnej sukni tuli się dwóch chłopaczków o niewinnych, nieświadomych nieszczęścia buziach.

I ostatni. Czy mówić potrzeba? Zamknięcie kościołów, zlanych krwią ofiar, kościołów poświęconych. Zdaje się, że słyhać zgrzyt klucza w zamku, zdaje się, iż nie inaczej patrzeć musiały oczy zakonników, powołanych do tej strasznej czynności.

*Zapadły ciężkie podwoje kościoła,
Zaskrzypty rdzawe zasuwki zamczyńska
I mnich łzę otarł, co z ocz mu wytryska,
I start pot krwawy z ranionego czoła.*

*Zamknięty kościół, zasuwki podwoi,
Na nim przekleństwo z mordów srogie cięży.
By je zdjąć z niego w prawach świętych stoi
Potrzeba modłów i poświęceń księży.*



*Nie bluźnię, starcy! lecz bez poświęcenia
Wszedłbym w ten kościół, choć on jest przeklęty...
W krwi, co go zlewa, męczenników świętej
Znaczyłbym rękę, a do rozgrzeszenia*

*Każdybym oltarz krwią tą w krzyż przeżegnał.
Takim żegnaniem święciłbym oltarze,
Takim-bym krzyżem przekleństwo z nich zegnał:
Krew męczenników i przekleństwo zmaże.*

Wiersz ten drukowany był wówczas w czasopiśmie polskim, wychodzącym w Wiedniu: — „Postęp“. Podcyfrowany jest literami A. G.

Kto wie, czy autorem jego nie jest sam Grottgger, który posiadał wybitne zdolności literackie, a był wtedy współredaktorem owego pisma.

Pierwszy ten dojrzały cykl Grottggera, te siedem strof poematu ujął autor w format czworoboczny, zakończony u góry płaską linią łukowatą. To zakończenie łukowe upodobał sobie Grottgger i stosował je we wszystkich następnych cyklach. A sposób roboty? Skromny kredkowy; niema w nim barw i tem lepiej, że niema, że nie odrywają uwagi od tego, co jest duszą obrazu.

W pierwszych dniach listopada 1861 r. ukazuje się „Warszawa“ na wystawie wiedeńskiej. I cóż? Oto wstępnym bojem zdobywa uznanie krytyki. Nie tylko uznanie; poeta niemiecki Fogler oddaje hołd autorowi, komponując wiersze do siedmiu obrazów „Warszawy“, i wypowiadając je na zebraniu artystycznym.

„Byłem przy tem — pisze Grottgger — kiedy wydeklamował te wiersze z całym zapalem, w prawdziwym artystycznym uniesieniu; słyszałem z jakim entuzjazmem przyjęło je dwu-

stu Niemców i płakałem w duszy jak dziecko! Mój Boże — można być wynagrodzonym lepiej?“

W oknach wystaw księgarskich wszędzie widniała cierniowa korona okładki „Warszawy“, która w tysiącach odbitek szła między ludzi, niby żywe świadectwo krzywd doznanych. „Pamięci poległych i rannych na ulicach Warszawy współbraci, a ku wiecznej morderców hańbie — 27 lutego — 8 kwietnia 1861 r.“ tak brzmi drukowany na okładce napis, poniżej korony cierniowej, okalającej tytuł i nazwisko autora.

A on sam tymczasem sławny już i podziwiany bieduje po dawnemu. Pięć miesięcy ciężkiej choroby odrywa go od pracy zarobkowej. „Straciłem prawie wszystkie środki — pisze do hr. Dzieduszyckiego — do uczciwego utrzymania siebie i rodziny“. A w tych robotach złożył wszystko, co myślał, co czuł, — to, co nad życie ukochał, — i to, w czem swoje nadzieje pokładał. Hr. Dzieduszycki, który wyraził był chęć nabycia jakiejś większej pracy Grottggera, zakupuje „Warszawę“ do swoich zbiorów lwowskich.

Zachęcony powodzeniem zabiera się Grottgger do drugiego cyklu tej samej treści. Że musiał być doskonalszym od pierwszego dowodzi jeden tylko rysunek, jaki znamy: — „Wdowa“, gdzie postać kobiety w kirach ma o wiele więcej dramatycznego wyrazu. I też to jedno, co wiemy o tym cyklu. Nabyty niezwłocznie po ukończeniu do Londynu, nie reprodukowany w odbitkach, przepadł i nie wiadomo dotychczas, gdzie i w czyich rękach się znajduje i czy nawet istnieje jeszcze.

„Plac Zygmunta“, a raczej jedno okno, na plac wychodzące, w tej tragicznej, pamiętnej chwili 1861 r. — to treść je-

dnego z najciekawszych kartonów. Nie ludzie, działający na nim, nie ten tłum zgorączkowany, rozpierzchły, przerażony, ale tylko cztery osoby w oknie. Nie ci, którzy giną, ale ci, którzy na ginących patrzą—ze zgrozą, z bólem, z rozpaczą! I zaprawdę, żaden obraz całego tłumu nie robiłby tak przejmującego wrażenia, jak te kilka figur, naszkicowanych ledwie. Patrząc na nie dreszcz cię chwyta i ciśnie się na usta pytanie: „co oni tam widzą?” i odpowiedź, że tam się musi dziać coś strasznego. To jest te kilka mocnych wyrazów, które wstrząsają nieraz silniej, niż długie piękne i wyszukane opowieści. Skąd je wziął Grottger, on, który tego nie widział, który w Warszawie nigdy nie był? Niech odpowiedzą własne jego słowa: „Niemcy pojąć nie mogą, że ja, nie ruszając się wcale z Wiednia, potrafiłem to tak uczuć, jakgdyby to prawda była, że Polak ojczyznę kochać zapomni“.

* * *

I wyszedł w pole nie rycerz w skrzydlatej zbroi, nie ulan „jak malowanie“, nie kosynier o silnej pięści i rozrosłych barkach, ale wyszło pachole niedorósłe w czapeczce rogatej, z siwym barankiem, ze starą „ojcową“ dubeltówką. Wyszędł młodzieniec o silnym duchu, a słabej dłoni; — wyszedł mąż dojrzały bez wiary i bez nadziei, bo iść trzeba było. A z nich wyszli ich wodzowie. Wodza — zabrakło, zabrakło jednego, który by „zestrzelił myśli w jedno ognisko i w jedno ognisko duchy“.

Szedł rok 1863. Po lasach, bagnach i ostępach odprawiły się te święte ofiary z krwi najszlachetniejszej.

Na początku tego roku znalazł się Grottger w kraju—we



NIESIENIE KRZYŻA.

Lwowie. Ostatni uścisk ręki z poetą Romanowskim, który dążył do szeregów, a w kilka dni wiadomość, że padł na polu walki, wstrząsnęła nim do głębi. „To mój przyjaciel!” — zawołał — „teraz na mnie kolej!” i rwie się do boju. Wstrzymał go wówczas przyjaciel St. Tarnowski, wskazując inną służbę, nie z szablą, ale z ołówkiem i pędzlem w rękę. I wtedy to ze zgorączkowanej wyobraźni, z duszy, przejętej bólem, gdy go „co chwila nowina przeraża, bijąca z Polski jako dzwon cmentarza...” wysnuwa się szereg obrazów, które rzuca na kartony bez przygotowań prawie, bez uprzednich szkiców, jak improwizację.

„Polonia!” Czy widzisz ją, w czarne zasłony owitą? ręce ma skute w dyby. Obok — trzej młodzieńcy, trzej synowie; jeden natęża młode ramiona, żeby rozluźnić więzy, dwaj patrzą, ręce wyciągając ku przyszłości, ku jutrzence. To karta tytułowa.

Pierwszy obraz — branka, gdy to porywano rekruta nocą, podstępem. Drzwi uchylone; tylko bagnet błyska i związane w tył dłonie nowobrańca. A tu z włosem rozwianym, w bieliźnie, żona czy siostra wlecze się na kolanach oszalała, bezprzytomna...

Tych pognali — inni — sami poszli w las. Kuźnia powstańcza, kosy kują. Spójrzcie na te twarze! to ci sami, co o pień drzewa wsparci skupią się koło sztandaru i zginą przy nim.

Ranni, uprowadzeni z pobojuwiska. Bitwa jeszcze nie skończona, coś się tam jeszcze dzieje. Oczy rannego patrzą z natężeniem, ręka ścisną dubeltówkę; ociąga się, czy wejść do domu, który mu da schronienie, czy, wy-



rwawszy się z rąk przytrzymującego go dziewczęcia, lecieć tam ze skrwawioną głową i płonącymi oczyma.

„Mistrz coraz takty nagli i tony natęża...“ Wróg do drzwi dworu szturmuje! Podparli je ramieniem dwaj młodzieńcy... trzymają... czy długo wytrwają? Runie tłuszcza rozszalała na tego starca bezsilnego, dzieci drobne, kobiety na klęczkach.

Przeszli jak huragan, odeszli... w kłębach dymu; mąż zamordowany, we śnie zduszony, jeszcze ściśnięta pięścią grozi. Trup żony, syna pacholecia—dziecka małego, i ten powstaniec, który przyszedł zapóźno i stoi, twarz rękami zasłoniwszy.

„Mistrz nakoniec strunami wszystkimi zagrzmiał—i głosy zdusił, jakby wbił do ziemi“. Śmierć, śmierć naokoło, pobojuwisko. Trup odarty, obnażony, bolesny, a przy nim matka, klęczy z rękoma rozłożonemi, jakby mówiła: „Panie, ty widzisz!“—a lez już niema. A dalej kobieta młoda, siostra może, albo narzeczona, ze zgrozą w oczach i twarzy.

I koniec. Ostatni akord kończącej się pieśni, ostatnia łza. Kolega-powstaniec przyniósł z pola walki list i jedno słowo—„poległ“. Twarze tych kilku kobiet, zgromadzonych w koło stołu, zakryte; zdaje się, że słychać szloch straszny, rozdierający. Żaloba i gdzieś tam mogiła, bezimienna, trawą porastająca.

Olbrymnia praca ukończona i znów ogarnia zdumienie. Wszakże nie był tam, nie widział. I to właśnie dobrze było i dlatego tylko mógł stworzyć „Polonię“ taką, jaką była. Wielkie dzieła rodzą się ze wspomnienia, z tęsknoty, nie rodzą się nigdy z tego, na co się zbyt blisko patrzy; na to, żeby z rzeczywistości dobyć ziarna poezji, trzeba strząsnąć

z niej wszystko, co ją kazi, trzeba na nią spojrzeć z odległości czasu lub miejsca. Grottger patrzył na wszystko, co się działo z odległego Wiednia; obrazy jawiły mu się owite w błękitną mgłę oddalenia i, rzecz rzadka i ciekawa, powstało arcydzieło równocześnie z rozgrywającymi się właśnie wypadkami.

Zdawało by się, iż dzieło tak piękne w formie, przejmujące w treści, powinno znaleźć prędko nabywcę; tymczasem dzieje się inaczej. „Polonia“ próżno czeka amatora, a Grottger po dawnemu zarabia na życie swoje i rodziny ilustracją, do której przybywają czasem epizody rozgrywających się walk powstańczych. Dochody nie wystarczają na pokrycie potrzeb codziennego życia, tembardziej, iż Grottger dopomaga obu swoim braciom, służącym wojskowo, wspiera rodaków, których po smutnych wypadkach dużo znalazło się po za granicami kraju; oddaje im nieraz ostatni grosz. Stosunki z hr. Pappenheimem uległy pewnemu oziębieniu. Tematy, jakie Grottger wybiera do swoich obrazów, nie trafiały do przekonania zacnego Bawarczyka. Na inną miarę piersi mieli stworzone. Płonąca pierś Grottgera nie dawała się weisnąć w opięty mundur nadwornego malarza.

„U nas coraz dotkliwszy niedostatek,— pisze pani Grottgerowa do Andrzeja Grabowskiego.—Tak źle, jak tego roku, nigdy jeszcze nie było. Obrazy są śliczne („Polonia“), a nikt ich nie kupuje... dosyć powiedzieć, że wszystkie źródła wyczerpane, gdzie się kiedykolwiek dostało. Chłopa-czysko tak zmizerniał ze zgryzoty, że tylko skóra i kości na nim; gdy tak czasem siedzie w fotelu, to jak z kamienia wykuty, bez ruchu siedzi,— a ja się w drugim pokoju łzami zalewam...“

Pośród zgrzyzot i niedostatku jest jednak czas na „swoją“ pracę, czas odkradziony należnemu odpoczynkowi.

Oto „Śmierć Borejszy“; stoi taki młodzieńczyk z ogniem w oczach, rozburzonym włosom i karabinem w dłoni; a w mroku pochmurnego dnia zimowego niewidzialna, cicho, idzie po śniegu—śmierć.

Dwa obrazy olejne, związane treścią—„Walka i pojednanie“. Na pierwszym — w śnieżnej zadymce zmagają się powstańcy z rosyjskim żołnierzem, nacierają na siebie—wrogowie. Obraz się zmienia. Ucichła zadymka, w oddaleniu stoją cicho ośnieżone sosny i oni dwaj z przebitymi pierściami, obok siebie, zgodni, pojednani na wieczność. Taki dyptyk, czyli obraz podwójny, wykonał Grottger później po raz drugi, biorąc treść tę samą, zmieniając tylko sposób wykonania z olejnego na kredkowy, jednobarwny. Jest jeszcze i „Powstaniec“— kaleka, wlokący się o kuli w towarzystwie matki i małej siostrzyczki; jest i „Nocturno“. Muzyczny utwór? Nie; ale prawie tak, bo zdaje się, że nad onym trupem kosyniera, z twarzą zwróconą ku niebu, zdającym się spać tylko, że nad onem pobożowiskiem i nad jedyną żywą głową chłopca z kosą w rękę i modlitwą na ustach ta cicha, księżycowa noc żalosne „requiem“ śpiewa.

Los wreszcie zlitował się nad tym niestrudzonym pracownikiem, Hrabia Janos Palfy z Preszburga nabywa „Polonię“ za sumę 3,000 florenów i cykl zostaje uwieziony do zamku Bájmoes, rezydencji węgierskiego magnata. Oto już drugie wielkie dzieło Grottgera dla nas stracone. A hrabia umie cenić ten skarb, ale też i strzeże go zazdrośnie, nie udzielając cyklu na żadne wystawy, niechętnie nawet pozwalając na oglądanie go. I stało się, iż dopiero w r. 1910



KOLEDNICY.



widział go Jan Boloż-Antoniewicz, autor wspaniałej monografii Grottgera i tak to widzenie opisuje: „ujrzałem „Polońkę“ tej wiosny po latach 46 ukrycia. Oko jej twórcy, zegnając się z tem dziełem w r. 1864, było ostatniem okiem polskiem, które ją dotąd widziało... Chroniony ciężkimi, grubemi na centymetr płytami szklannemi, wisi tam ten cykl za spuszczonei żaluzjami w półmroku niezamieszkanego apartamentu“.

Tymczasem jednak owe 3,000 fl., a 1,000 fl. otrzymanych za prawo reprodukcji, w wyobraźni niepraktycznego zawsze w życiu artysty wydaje się sumą ogromną. W ślad za tem idzie zmiana mieszkania, cała rodzina przenosi się do Heinrichshofu, pałacu barona Draschego. Pracownia przybiera wygląd artystyczny; znajdują się zbytckowniejsze meble, nie brak też i odwiedzających, których nęci nie tylko niezwykła postać młodego artysty, ale i wdzięk wrodzony kobiecie polskiej, którym się odznaczały matka i siostra Grottgera. Życie układa się szerzej, wygodniej, przyjemniej. Któż mu z tego zarzut zrobić może? Czyż nie było to uczucie więźnia, nagle na swobodę wypuszczonego? Należały mu się chwile swobodniejszego, piękniejszego życia; a że się to życie potem zemściło za te kilka dobrych chwil, odkradzionych długim latom trosk i biedy, to już leżało w przeznaczeniu Grottgera, któremu los nie kwiatami drogi życia usiał.

Znajomości z hr. Palffy zawdzięcza Grottger kilka rozkosznych chwil, które danem mu było przeżyć. Węgierski magnat, jadąc do Wenecji, zabiera ze sobą Grottgera. Przeżywa tam kilka tygodni, jak w marzeniu, jak w baśni cza-

rodziejskiej, w tem dziwnem mieście, które jest samo zakłę-
tą bajką.

Widział te smugi księżycowe na martwych wodach kana-
łów, i sunące po nich czarne gondole, i przewoźników, po-
chylających się z wdziękiem, Włochom właściwym, przy
każdem uderzeniu wiosła. I wibzły go te smukłe łódeczki,
wiozły go lotem jaskółczym ku niezliczonym pałacom o dzi-
wnych, lekkich, poetycznych kształtach, zatrzymywały się
u kamiennych schodów, schodzących w morze, wiozły go
po wązkich kanałach między milczącymi murami tego napół
umarłego miasta. Na placu Św. Marka, u stóp tego kościo-
ła, co błyszczy i migocze jak wielki klejnot, spadają mu na
głowę i ramiona chmury siwych gołębi, a ze ścian muzeów
i galerji obrazów patrzą, zawsze żywe dzieła starych mala-
rzy włoskich: Tycjana, Tintoretta, Bonifazia, Rafaela... pa-
trzą i mówią do niego głosem wielkiej sztuki z przed lat
czterystu.

Słucha tych głosów Grottger; za silne były, żeby ich nie
słyszeć; chwyta też za pędzel i w zachwycie kopjuje wiel-
kich mistrzów, przejmując się złotawym kolorem Tycjana, po-
dziwia czystość i wdziek rysunku Rafaela. Znał wprawdzie
wielu z nich z muzeów wiedeńskich, ale tu przemawiają do
niego silniej jeszcze, bo są jakby częścią nieodłączną tego
niezwykłego miasta, mają jego barwy i słońce, dumny wdziek
jego mieszkańców, słodycz i ogień oczu weneckich dziew-
cząt. W Wiedniu są ci mistrze włoscy w gościnie, — tu są
u siebie w domu. Cóż dały one Grottgerowi po za chwi-
lami rozkoszy artystycznej? Czy silne wrażenia, jakich do-
znawał, zwróciły go z drogi, na którą wstąpił? Czy może
porzuci swoje jednobarwne kartonowe prace, a wróci znów

do malarstwa? Istotnie jest zwrot pewien, zaczyna bowiem
więcej malować, a co ważniejsze — kolory, których używa,
zyskują na czystości i sile. I to, pod wpływem mistrzów
włoskich, zrozumienie barwy i oświetlenia przeniesie do swo-
ich natchnionych rysunków, pozostanie jednak przy nich
wiernie, bo i jakże mogło być inaczej, skoro oddawna są
jego umiłowaniami?

Niemniej jednak to „coś z Wenecji“ ujawniło się i ży-
wej w pracach Artura.

Istnieje legenda starożytna o trzech Parkach, snujących
nić ludzkiego żywota. „Parkami“ nazwał Grottger swój
obraz, na którym trzy piękne kobiety zajęte są: — jedna —
wiązaniem bukietu kwiatów, druga — przesuwaniami wstążki
do rąk trzeciej, aby ją przecięła, jak owa legendarna par-
ka, przecinająca nić żywota. Trzy piękne kobiety, wszyst-
ko jedno, jak się zowią, mają doprawdy barwę, układ, typ
nawet, umiłowany przez weneckich malarzy. Jest jeszcze
parę portretów i poetyczna księżycowa noc na kanale we-
neckim; tu i owdzie czuć wspomnienia włoskie, jakby odzy-
wające się tony zasłyszanej kiedyś melodji; niemniej Grott-
ger zostaje sobą i będzie z nim tak do końca jego krótkie-
go życia. Umiłowania jego były tak silne, iż wszystko, co
spotykał na drodze swojej, tylko je w nim utrwalało i po-
tęgowało.

Od chwili powrotu do Wiednia niewiele już teraz czasu
oddziela go od zupełnego i ostatecznego opuszczenia nad-
dunajskiej stolicy. Dom się rozbija. Siostra wychodzi za
mąż. Matka wyjeżdża w trosce o los młodszego syna, by-
łego uczestnika ruchu powstańczego, i oto Artur zostaje
znów samotny na wiedeńskim bruku.

Samotny? — no nie; ma towarzystwo; ma go aż zawiele. Pilnują go dobrze wierzyciele różni, trzymają pęta zaległości, w które popadł, świadcząc zbyt hojnie i nieopatrnie rodzinie i rodakom. Próżno z pomocą wiernego towarzysza w tych złych czasach — Fedorowicza, stara się zrzucić te więzy nieznośne. Zawodzą wszelkie rachuby, co krok zapada głębiej w kłopoty materialne, jak w grzeskie, cuchnące mokradło. Ale wśród tej biedy ma i inne towarzystwo, o którym nikt nie wie, prócz niego i białych kartek szkicownika; ci towarzysze — to jego myśli twórcze, które nie opuszczają go nigdy pomimo najnieznośniejszych warunków bytu.

Jest taka książeczka nieduża, gdzie stronka po stronkę snują się szkice przeróżne¹⁾, widać wędrówkę myśli twórczej, szukającej dróg do wypowiedzenia się. A jedna z tych myśli poszła borem litewskim i wysnuła z niego szereg scen, niestety, tylko w szkicach utrwalonych. Był to bezwątpienia projekt jeszcze jednego cyklu z epoki powstania, zarzucony potem, częściowo zużyty w „Lituanii“. Czem on by mógł być jednak, dowodzi jeden karton wykończony, p. t. „Wedeta“, czyli straż wśród leśnych ostępów. Stoi taki Litwin, sam jak dębeczak młody, między pniami odwiecznych drzew; przestąpił nogą pień zwalony, w rękę trzyma gotową do strzału dubeltówkę; oczy bystre z pod futrzanego kółpaka wbił w gąszcze i czeka.

„Któż zbadał puszczy litewskich przepastne krainy...

„Aż do samego środka, do jądra gęstwiny?“

1) Bołoz-Antoniewicz.

A w tych puszczech dziwne się dzieją rzeczy. Słychać nawoływania straży, ciche trąbienie na alarm, czasem krzyk, łoskot i strzelaninę, szepty wspólnej modlitwy, i równe oddechy uspiętego obozu, i trzask przerażający płonącej puszczy... Wszystko to być miało; szkice przepyszne, pełne wyrazu, porobione; plan zakrojony na siedem obrazów gotów, i była by to może druga „Lituania“, gdzie bohaterami by byli nie on i ona; ale on tylko, do młodego dębeczaka podobny, strażnik litewski.

Cóż nam więcej powie ów nieoszacowany szkicownik? Kilka szkiców do „Przejścia przez granicę“. Na ten raz szkic doczekał się wykonania i to w obrazku olejnym. Młoda krasawica z króbką jagód w rękę przeprowadza przez granicę oddział powstańczy. Im tylko głowy widać z po za wzgórza, ona za to w całej postaci, w niepewnym, skradającym się ruchu, z rozszerzonymi strachem oczyma, z wyborbnym ruchem ręki, powstrzymującej zbyt szybkie kroki idących za nią powstańców. Ciągłe, ciągłe myśl zwrócona tam do kraju i jego bólów, i czasem aż ostrym zgrzytem odzywająca się z kartek szkicownika. „Tańce polskie!“ — Polonez — szereg skutych łańcuchami zesłańców na śnieżnym stepie. Strzelający żołnierze — to kadryl. Walc — wijący się w mękach raniony powstaniec, i dwie przerażone, przytulone do siebie kobiety — to Polka. Co za dziwny pomysł! Ironja w nim gorzka, bolesna, straszna! „Tańczcie Polki!“ — zdaje się wołać — jeżeli są takie między wami, jeżeli się odważycie!“

Mimo tej pracy wyczerpanej, bo i ilustracji nie porzuca, warunki bytu układają się coraz gorzej. Na dobitkę odebrano mu stypendjum rządowe. Prace jego nie dogadzają gustom

sfer decydujących. Próżno, przyciśnięty koniecznością, chciałby za byle co sprzedać „Konfederatów“—swoją „biedną pracę“. Mimo pierwszorzędných zalet obraz nie znajduje nabywcy. Coraz gorzej, coraz ciężiej, coraz smutniej płynie życie.

Jeden w tej ciemności promień jasny, jeden uśmiech i ten dał mu stary Kraków, dokąd udaje się z początkiem 1865 r., może szukać wychnienia, może upatrzyć miejsce na nowe gniazdo, gdy stare ruiną grozi. I tu — grono artystyczne przyjmuje go uroczystą na jego cześć wieczerzą.

W sali hotelu „pod Białym Orłem“ zgromadziło się, co Kraków miał wówczas najlepszego z młodych sił. Znalazł się z malarzy i Kotsis, i Matejko, i Cynk; z literatów: Szujski, Belcikowski, Bałucki, Lubowski, Anczyc i jeszcze kilku innych.

„Gdy Grottger wszedł — pisze Belcikowski — gdy się uśmiechnął po swojemu, gdy nas serdecznie uściskał za rękę i bez cienia pozy albo błagi zasiadł między nami, jakby od lat wielu codziennym był naszym towarzyszem, od razu jakiś ciepły duch powiał po całym zgromadzeniu, roztajały od razu wszystkie serca...“

Krótko trwały krakowskie, pogodne dni. Trzeba było wracać do Wiednia, do kłopotów i wierzycieli, do zacnego przyjaciela Fedorowicza, który, jak mógł, starał się odpedzać troski, zaciskające coraz ciaśniejszą obręcz. Jeszcze parę dzieł wybitnej wartości. Wielki karton, przedstawiający posąg Słowiańszczyzny, który wykuwają wszystkie narody słowiańskie w postaci małych chłopiat. Karton ten złożył Grottger w darze kasynu Słowiańskiemu w Wiedniu, przyczem wypowiedział mowę pełną zapалу i ognia.

I to umiał ten niezwykle zdolny człowiek. Z tego też czasu pochodzi portret własny dziwnie żywy i naturalny. Na kawale zdartej tapety powstał w ciągu paru godzin szkic przepiękny „Pochodu na Sybir“—w układzie innym, niż ów powszechnie znany. I to też idzie między ludzi jako fant na loteryję dobroczynną! Czem mógł i jak mógł służył biedny umiłowanym ideom, rzucając na prawo i lewo dary królewskie, on! nędzarz, niepewny, gdzie jutro głowę złoży.

Ostatnie dni pobytu w Wiedniu przechodzą w gorączkę i niepokoju. Świecą pustkami ściany pracowni. Zbyto wszystko, co się zbyć dało. „Modlitwa konfederatów“ oplaca baronowi Drasche czynsz za mieszkanie i pracownię. Teki, pełne szkiców i rysunków, przechodzą w ręce wierzycieli. Rozleciały się po świecie te drobne kartki, jak liście wiatrem gnane, rozsypały się gdzieś—na przepadle.

Wczesną wiosną opuszcza Grottger Wiedeń, uwożąc z niego sławę, nadszarpnięte zdrowie i biedę taką samą, z jaką do niego przybył przed laty dziesięciu.

* * *

Gdybyśmy wzięli w rękę ostatni wiedeński szkicownik Grottgera i przerzucili jego kartki, zobaczylibyśmy na pierwszych jego stronicach wspomnienia życia wielkomiejskiego, kolekcję typów ulicznych: modne damy, wiedeńscy hulacy i brukotłuki; a bezpośrednio potem, — jakiś widoczek sieliski, sianokosy, długowłosi pastuszkowie, hoże dziewczuchy¹⁾. Zdrowe, rzeźwe powietrze polskiej wsi wieje z tych kartek

¹⁾ Bołoz-Antoniewicz.

i ożywczą falą wpływa do nądwatłonnych piersi skolatanego tułacza. Śniatynka — wioska St. Tarnowskiego — miała się stać ważnym etapem w artystycznych wędrówkach Grottgera, a zdrowie moralne i fizyczne splywa na niego z tych wzgórz podkarpackich, gdzie go dobre losy zaniosły.

Strząsnął z siebie wielkomięskie pleśnie, strząsnął pamięć złych czasów, strząsnął wreszcie mus codziennej zarobkowej pracy, która w końcu byłaby zaciążyła na jego artystycznych wzlotach — i całą duszą zwrócił się do natury, niewypuszczając z rąk szkicownika i przygotowując się do nowej pomnikowej pracy. Oprzytomniał, wszedł w siebie, i w boskiej ciszy wiejskiego ustronia rzuca znamienne pytanie: „Kto jestem i dlaczego jestem? czym artystą i apostołuję dla ludzi u Bóstwa, czy dla Bóstwa u ludzi?“ Komu ma oddać skarb, który w sobie nosi, co robić, żeby iść naprzód, wciaż naprzód, nie dać się porwać wirom i wstecznym prądom? „Mnie stać nie wolno, ja lecieć i porywać muszę!“ I zma-ga się, zrywa do nowych lotów, chociaż gnębi go jeszcze zmora wiedeńskiej niedoli i niepomaganie fizyczne.

Zima dopiero przynosi pożądaną zmianę.

„Jestem dobrej myśli — pisze w grudniu tegoż roku do Fedorowicza — troski i zmartwienia staram się odepchnąć od siebie i dlatego ciągle jestem zatrudniony. Od czasu do czasu wśród ciszy wiejskiej i głuchoty zimowej stanę w oknie i spojrzę na świat Boży, przyglądnę się wesółym srokom, krzykliwym i niezgrabnym gawronom, posłucham poświstu mroźnego wiatru, w końcu wpatrzę się w smutne, szare obłoki i mam tyle przed oczami, a tak wiele w sercu, żebym się z nikim nie zamienił“. I słusznie, bo czyż może być większa rozkosz, jak czuć w sobie siłę twórczą?



POD MURAMI WIĘZIENIA.

Ma też coraz coś nowego na sztaludze. Jest więc „Szkółka wiejska“, śliczny obrazek olejny. Gromadka długowłosa w sukmanach, wpatrzona w uduchowioną twarz nauczyciela, wspartego na tablicy, przy której stoi malec z zadartą płową głowiną. A w głębi sali szkolnej, jak cudowne zjawisko, Matka Boska Bolesna z ciałem Chrystusa na kolanach. Złote tło obrazu jakby rozwarło niebo nad tą gromadką polskich dzieci.

„Pożegnanie“ i „Powitanie“ — znowu dyptyk. Na pierwszym obrazie powstaniec żegna się z ukochaną, ona mu karkę do czapki przypina: — „więc już dzisiaj i może na zawsze?“ Dzisiaj pójdzie w bój z jej imieniem na ustach — jej — Polski! Bo tacy oni wszyscy wówczas byli. Ale uniesie ze sobą i ten obraz drogi, w który wbił oczy rozkochane, jakby go chciał utrwalić na zawsze w oczach, duszy, sercu...

„Strasne słowo to słowo — ojczyzna.

Wszystko rwie się, każdy węzeł pęka,

Gdy nad nami zjawi się jej ręka,

I wołając ku sobie — dla siebie.

O, ja Bogu bym się urwał w niebie!

Pójdę za nią, wróce, — kocham cię!”

Poszedł i wrócił. Oto zjawia się w obrazie drugim. Noc księżycowa, dziewczyna w bieli, do ręki jej przywarły wargi klęczącego u jej nóg bojownika. Pusty rękaw czamarki zwisa od ramienia...¹⁾

Są i jakieś pomysły większej kompozycji, jakiegoś wielkiego obrazu z Królową Korony Polskiej i postaciami Ka-

¹⁾ Oba te pełne poezji obrazy są własnością muzeum narodowego w Krakowie.

zimierza Wielkiego, wiodącego lud do jej stóp; i Kordeckiego na czele rycerstwa; są i przetwarzające się szkice do puszczy litewskiej, która ciągle jeszcze czeka skończonej formy. I sam Grottger zdaje się czekać czegoś, jakiegoś zaklęcia, które by wyzwoliło wszystkie nagromadzone siły twórcze.

I przyszło słowo zaklęcia, a była nią miłość, pierwsza prawdziwa, głęboka miłość!

Na balu „strzelniczy“ we Lwowie, w sztucznym blasku kinkietów, wśród dźwięków muzyki zjawiała się ta, która miała mu być Beatryczą w dalszej drodze żywota. Była nią młodzianka, śliczna, zaledwie szesnastoletnia panna Wanda Monné.

I rozpoczyna się okres dziwny w twórczości Grottgera; jakby iskra padła na nagromadzone prochy. Po kilku tygodniach nieobecności, po kilku tygodniach pierwszych upojen, wraca do Śniatynki i wnet jest „już na dobre przy robocie“. Działają w nim dwie siły: miłość, która daje skrzydła, i wola, spotęgowana gorącym pragnieniem stworzenia niezależnego bytu dla siebie i ukochanej, usłania własnego gniazda i ozłocenia go blaskami sławy. W ciągu tego jednego roku powstaje ogromny szereg dzieł pierwszorzędnej wartości. Pobudzona wyobraźnia pracuje ze zdwojoną siłą, a wysiłkom tym nie mogą nieraz sprostać siły fizyczne.

Z mgieł i marzeń o mówiącej różnemi głosami puszczy litewskiej wyrasta dzieło, przewyższające wszystkie dotychczasowe doskonałością formy artystycznej. Z uczucia świeżo zrodzonego wyrasta w niem obok mężczyzny bojownika—idealna, męczeńska postać kobieca. Cykl ten, ujęty w sześć

obrazów, nazwał autor „Lituania“ i opowiada w nim, co się działo w kniejach w owym pamiętnym roku walki i ofiary.

I prowadzi nas najprzód do onych puszczy litewskich, które myśliwiec nawet „zna ledwie po wierzchu“, do tych ostępów, gdzie:

„Są miejsca, nigdy człowieka nie zgwałcone krokiem,
„Jak zaklęte, okryte tumanu obłokiem...“

gdzie szumi puszcza odwieczna, gdzie pnie omszałe stoją jak kolumny jakiejś pogańskiej świątyni, a przez tę puszcę ciągnie mgliste widmo śmierci... ciągnie...

„I tylko rąbek powleka się długi
Po pniach, jak opar, co idzie ze strugi...“

Śluchajmy dalej tej baśni litewskiej, dajmy się wieść ręce artysty-czarodzieja.

Czy widzicie wewnątrz chaty litewskiego chłopca? Ćmi się ogarek świecy; on sam usnął, czekając wezwania. Czy widzicie w okienku małym rękę, która puka w szybkę?

„O, moi ludzie! różne ja widziała
Ręce na świecie, od kiedym jest żywa,
A żadna przecie nie była tak biała
I taka jasna, taka wyraźliwa,
Jak ta, co przyszła nocą budzić śpiące,
I miała palce, jakby wołające
Na wielki Boży sąd...“

To znak, już czas! Porwała się kobieta, budzi śpiącego... Już czas, jeno dubeltówkę na ramię, toporek za pas... Budzi, a oczy przerażone zwraca w kąt izby, jakby jej gdzieś mignęło owo widmo śmierci, przez puszcę cicho ciągnące.

Te oczy! Mistrzem nad mistrze był Grottger w odtwarzaniu wyrazu oczu. Takiej głębi, mocy spojrzenia nie osiągnął żaden z artystów polskich, a bodaj i świata całego.

Poszedł. Widzicie go w obozie powstańczym; klęknął i przysięga przed tym Ukrzyżowanym, którego obraz wznosi wysoko ręka zakonnika. Przysięga wódz w imieniu tego bezimiennego zastępu, który w księżycowej poświacie klęknął i schylił czoła.

W odwiecznej puszczy bój śmiertelny. Posłuchajmy, co nam o tem powie sam autor w liście swoim do narzeczonej. Pozowali mu do tej pracy przyjaciele, on sam sobie wreszcie i cieszy się, że praca dobrze idzie.

„Dzięki Bogu, od kilku dni serdecznie pracując, mam już pierwszy, niedawno zaczęty, rysunek na dokończeniu. Stach (Tarnowski), Sarnecki i twój kot (Grottger) wyrosli na nim jak żywi, wszyscy najokropniej nasrożeni, bo przed nimi wróg najzaciętszy, a w ręku posoką złane topory i miecze“. Rwą naprzód w szalonym pędzie, tratując wszystko po drodze wśród kłębow dymu i ujadania psów, które rozwścieczone rwą się ze smyczy.

*Drugie kury już zapiały,
W pustkowiu huka sowa,
A Stachowej sen zabrały
Pogłoski z pod Grochowa.*

*W izdebce coraz się mroczy,
Dogasa szczapka smoła,
I zmęczone płaczem oczy,
Zasklepily się zwolna.*

*Trzeci kogul północ wypiał
Mignęło przed okienkiem,
Czujny odświeerek zaskrzypiał,
Wchodzi Stach z brzękiem, szczękiem.
Zrzucił czapkę, siadł przy stole,
Miło patrzy na żonę;
Błysło z pieca:—krew na czole,
Całe piersi skrwawione.*

Tak opisuje zjawienie się ducha zabitego męża poeta Seweryn Goszczyński. Trochę inaczej opowiada to samo Grottger.

Kobieta nie śpi; czuwa i leje kule dla powstańców; rzuciła szczypce i dziecię do piersi przyciska, niby tarczę przeciw udręce oczekiwania. „Mignęło przed okienkiem“, ktoś wszedł... porwał się pies i słucha... Ktoś wszedł i stanął cicho u progu—Duch... „błysło z pieca, krew na czole, całe piersi skrwawione...“

W kopalniach Sybiru, przy świetle kaganka, w więziennej odzieży, ona—męczennica, przykuta do tacek, zwraca twarz wynędzniałą i wychudłe ręce wyciąga do tej Pocieszycielki strapionych, widzi ją słodką, anielską w wieńcu gwiazd, w aureoli niebiańskiej światłości. „Panno Święta, co Jasnej bronisz Częstochowy...“

Skończona baśń o tem, co niegdyś słyszały puszcze litewskie.

Gotowe dzieło zawozi Grottger do Krakowa, gdzie zostało wystawione. I dziwne! najdoskonalsza ta praca przyjęta zostaje dość zimno przez krytyków i publiczność. Rozgoryczony tem Grottger opuszcza Kraków, ażeby rozpocząć niespokojne, cygańskie życie. Przerzuca się z miejsca na miejsce, z myślą ciągle zwróconą do narzeczonej, z ciąglem

pragnieniem zobaczenia jej. O ile są od siebie zdala zarzuca ją listami, w których spowiada się ze wszystkich uczuć, pomysłów, zachwyków. Listy te, w posiadaniu p. Wandy Młodnickiej¹⁾, są jakby dalszym ciągiem dawniejszego dziennika i zawierają nieoceniony materiał do przyszłych biografii Grottgera, zważywszy, iż pisał je w ciągu dwóch lat najpiękniejszego rozwoju swego talentu. Przez kilka miesięcy żyje teraz w jakimś szalonym wirze pracy, podnięt, zmieniając miejsc.

Z tych to czasów pochodzi kilka portretów narzeczonej; jeden zwłaszcza, oryginalny, przedstawia ją w profilu, a po za nią na ścianie profilowy cień twarzy Grottgera. Cieniem jej chciał być i cieniem też się stał w istocie.

Do tego też czasu odnieść należy rodzaj albumu p. t. „Wieczory zimowe“, poświęcony „p. Wandzie Monné“, do którego zalicza się część ogromnego dorobku tego niezwykłego roku, obejmujący szereg luźnych kartonów rozmaitej treści, wykonywanych to tam, to owdzie, przerywanych przejazdami z miejsca na miejsce.

Myśl jego twórcza, naprężona do ostatka, zawędrowała aż w śnieżne tundry Sybiru i wywołała stamtąd szereg obrazów sybirskich. „Rekreacje na Sybirze“—trzech powstańców, o dziwnie uduchowionych twarzach, ciosa krzyż, na którym wycięto datę 1863. Na drugim kartonie niosą „swój“ krzyż, pod którym uginają się ich barki, a nogi grzęzną w wiecznych śniegach. Brodaty skazaniec ciosa bryłę skalną. Co myśli w tych długich, długich latach katongi? czy

¹⁾ Wanda Monné, po śmierci Grottgera, poślubiła malarza Karola Młodnickiego.

woła w nim bunt: „Zemsta, zemsta, zemsta na wroga! z Bogiem—i choćby mimo Boga!“ Czy mieszka cicha rezygnacja i nieś będzie swój krzyż do końca życia? Dziwne, zaczerpnięte obrazy, które bezmyślnym każą myśleć, obojętnym—czuć, nieczułym—plakać. Takie one wszystkie te—„grottgerowskie“. Te trzy — to niby cykl jeden więcej, do którego można by jeszcze dołączyć „Pochód na Sybir“, później już wykonany, jedno z najcenniejszych dzieł Grottgera.

O, ale nie zawsze takie ponure i tragiczne obrazy snuje wyobraźnia artysty! Duszę ma teraz zbyt jasną i promienną i jak sam pisze: „z każdym dniem staję się lepszym“. Z tej jasności, z tego słońca w duszy wypływa szereg obrazków „sielskich i anielskich“, obrazków, gdzie treścią jest dziecko,—słońce istnień ludzkich.

Oto pod starą lipą zasiadł wojak, kaleka i prawi dwóm wpatrzonym w niego chłopaczkom, jak to kiedyś szedł „na wojnę“,—jak to „grały surmy zbrojne“, jak to „grały trąby złote, na zwycięstwo, na ochotę“. A na drugim obrazku „U grobowca Kościuszki“ na Wawelu stanęła matka z chłopczykiem. Na sarkofag pada jasne światło pochodni, a dziecko przywarło świeżemi usteczkami do marmurowego wizerunku Naczelnika.

I znowu na chórze kościółka śpiewa pacholę o lnianych włosach, śpiewa „jak ptaszęta boże“, Jezusowi i Marji na chwałę. Stary brodaty pielgrzym wskazuje młodemu chłopczynie jakieś drogi, jakieś nowe zorze, a chłopiec aż ręce złożył w zachwycie. W twarzy pielgrzyma jest coś z proroka, a coś z anielstwa w twarzy dziecka. A ów niezrównany portret dwóch dziewczynek w muślinowych, białych sukienkach, bawiących się z wielkim dogiem. To małe hr.

Dzieduszyckie, które miały szczęście być portretowanymi przez Grottgera w czasie jego krótkiego pobytu w gościnnym domu ich rodziców. A te dwoje maleństw, którym niania opowiada „straszne bajki!“ Tula się do siebie, jak pisklęta w gniazdku, wlepiwszy w opowiadającą wystraszone oczęta. A owe bajeczne „Córki króla Popiela“, a „Kolędniczy“ wiejscy. Te dwoje ślicznych dzieci, towarzyszących matce, która oto padła na kolana pod murem więziennym kryjącym, jak płyta grobowa, jej męża, a ich ojca; ach, a wreszcie ta oto „duża osoba“, rysowana już w Paryżu, co to stłukła wazon i stoi wciśnięta w kącik, z buzią w „podkówkę“ w niezrównanym ruchu dziecka, oczekującego kary.

Jak cudne bajki byłby opowiedział polskim dzieciom ten niezwykle i niezrównany znawca duszy dziecięcej! bo, żeby tak dzieci i dla dzieci rysować, trzeba dziecko znać i kochać, a kochał je też Grottger całą mocą swego gorącego serca. „Ach, jakie to są rozkoszności te masiope dziewczątka! — pisze podczas malowania portretu małej dziewczynki. — Gdyby to były moje, to szalałbym z uciechy“.

Gdzie, kiedy były te prace wykonywane, trudno ustalić. Zaczynał je w jednym miejscu, kończył w drugim, przenosząc się ze swoją teką to tu, to tam.

Czas pewien w ciągu lata spędził w Grybowie, w wujostwa p. Monné, u boku swego „anioła“. Podczas tych najszczęśliwszych chwil życia swego nie przestaje pracować. Tu rysuje „Cygana“, niektóre kartony obrazowe, portret narzeczonej w zasłonie tureckiej na twarzy. Wyjeżdżając, uwozi oryginalną pamiątkę, otrzymaną w darze od ukochanej; jest to ogródek maleńki, zasadzony jej ręką w drewnianej skrzyneczce. Poetyczny ten dar wozi ze sobą wszędzie,



„WOJNA“ — LOSOWANIE.

dbając o roślinki równie troskliwie, jak o swoją tekę rysunkową.

„Ale wir życia porywa go znowu i niesie.

Trzymiesięczny pobyt w Porębie u p. Bobrowskich to istotnie jakieś wulkaniczne rozpięcie wszystkich sił duchowych, rozsadzających słabe ciało. „Co to będzie z tego wszystkiego, co mi się po głowie marzy — nie wiem...“ A marzyła mu się rzecz wielka, obejmująca już nie tylko naród swój, ale ludzkość całą. Rodził się wtedy cykl wszechświatowego znaczenia, p. t. „Wojna“—myśl, która w głowie Grottgera tkwi od lat kilku i teraz zaczyna się oblekać w formy widome. Część obrazów tego cyklu wykonał Grottger w kraju, część w Paryżu, gdzie pracę swoją ostatecznie ukończył i dopełnił. Dlatego też opis tego arcydzieła odniesiemy już do czasów paryskich, aby nie przerywać ciągu obrazów, tak jak je autor ostatecznie ułożył.

Obok zaś pracy twórczej, która rozwija się w jakimś szalonym, przyśpieszonym tempie, znajduje Grottger czas na pisanie komedji, w której sam gra rolę „śmiesznego, starego profesora filozofii“, na urządzenie obrazów żywych, rysowanie dekoracji do ozdobienia sceny. Stąd pochodzą dwie piękne postacie muz, Talii i Melpomeny, uosabiających muzykę i sztukę dramatyczną.

W tym czasie też zbliża się z muzykiem polskim—Żeleńskim, upaja się muzyką, stwierdzając, iż nie idzie mu praca z powodu rozdrażnienia, wywołanego „cudną grą Władka Żeleńskiego“.

Wszystkie zasoby duchowe pulsują w nim z niebywałem natężeniem. „Siły moje fizyczne jakże są słabe w porównaniu z siłą moralną, która je niszczy“. Znamienne te słowa

napiisał kiedyś, mając lat ledwie osiemnaście! Jakże, niestety, były prorocze!

Złowrogie widmo, krążące koło niego od czasu krwotoku, któremu uległ w Śniatynce, to oddala się, to zbliża, a teraz stanęło tuż przy nim, niewidzialne i nie odeгна go nawet jasny obraz Beatryczy.

„Jam trawa, co nie czekała

Razu kosi siekającej,

Alem przed czasem zmarniała

Ogniem plagi gorącej...“

Marniał, palił się, spalał, jak pochodnia.

Dawno upragniony wyjazd do Paryża tkwi ciągle w myśli i zamiarach Grottgera. Ciągnie go zachód, zaciekawia jego kultura, a wstrzymuje nie tylko mus rozłąki z ukochaną, ale i jakaś nieokreślona obawa, jakby coś niewiadomego stało za jego progami. Cóż się tedy stało, iż teraz nagle daleki ten zamiar zdaje się być blizkim urzeczywistnienia? Oto przychodzą do niego listy z Paryża; przychodzą liczne, nagłace o jaknajszybszy przyjazd, obiecujące sławę, zapewniające powodzenie materialne, ludzące tysiącem pojęt. A czegoż więcej pragnie rozbitek życiowy, jak zdobycia tej podstawy bytu, aby na niej zbudować wymarzony przybytek szczęścia dla siebie i dla „Niej?“ Opuszcza tedy gościnne Pórebę. Jeszcze kilka jasnych chwil we Lwowie w towarzystwie narzeczonej, ostatnie pożegnania i 22 grudnia oczy Grottgera po raz ostatni spoczną na tym szmacie ziemi polskiej,

„Wokół którego puszcza czerni się bezbrzeżna,

A nad nią we mgłach błyszczą Matka Boska Śnieżna“

„Odjechał; a los jego poszedł za nim wiernie. Symboliczne ciernie idą aż tutaj. Nikt go nie czekał w Paryżu, prócz niegodnego hulaki, który, straciwszy cały swój zasób pieniężny, okłamał i złudził łatwowiernego artystę, ograbił z ostatniego grosza i odjechał, a Grottger zostaje znów na bruku wielkiego, obcego miasta bez oparcia, bez środków do życia. Więc znów walka o kawałek powszedniego chleba, mieszkanie na poddaszu, gdzie bywa i głodno i chłodno, znów praca zarobkowa, która zresztą idzie mu teraz nie zwykle szybko.

A Paryż tymczasem roztacza przed nim wszystkie powaby wielkiej stolicy, jedynej na świecie, ze swemi wieżycami odwiecznych kościołów, kopułami muzeów, pokrywającemi nieocenione skarby sztuki, z tryumfalnemi bramami i bielejącemi marmurami posągów. A obok tego ze swemi bulwarami, zatłoczonymi od rana do późnej nocy, z loskotem omnibusów ogromnych, jak arki Noego, z tem życiem ulicznym, które wre, tryska, wylewa się za brzegi.

„O czem tu marzyć na paryskim bruku,

Przynosząc z miasta uszy pełne stuku...“

„O czem? A ot o czem. I czyż to nie dziwne tam — w Paryżu? „Chcę zrobić rysunek — pisze Grottger — przedstawiający ten moment, kiedy właśnie na stację przybył etap, złożony z biednych mizeraków i wyciągnięty w długą linję... po nad nimi wszystko zimne i ciemne, pod nimi białe, a przy nich żalobnie i czarno!“ I cieszy się, że będzie odtwarzał ten „cały szereg owych postaci, mizerycznych z pozoru, a tak wspaniałych na duszy!“ Jakoby w dni pięć wyrosły te twarze bolesne, jak żalobne kwiaty: i ten oto pierwszy o dzi-

wnych, dramatycznych oczach, tulący do siebie towarzysza, który padł z osłabienia; i ten, tam dalej, dziarski jeszcze, w rogatej czapeczce, strzelający nienawistnym okiem w stronę gromady oprawców; i ono pacholę, trzęsące się z zimna w swoim zadługim kozuchu; i ten inteligent, o silnej duszy, a słabych dłoniach. Stoją murem wśród wrzasków kozactwa i dzikiego ujadania rozżartych psów, któremi ich poszczuto ku większej uciezce żołdaków. Nikt z nas tego nie widział, ale, patrząc na ten obraz, czuje się, iż to tak bywać musiało; jest w tem prawda, boląca, jak otwarta rana.

Ów „Pochód na Sybir“, nabyty przez hr. Działyńskiego, jest najpiękniejszym dziełem z cyklu sybirskiego. Głęboki wyraz ma też karton, p. t. „Dwa pokolenia“—ojciec i syn, niby rok 1831 i 1863; obadwaj jednak ojczyźnie składają przysięgę, jednaką ofiarę krwi i życia.

Przybycie Grottgera do Paryża nie mogło przejść niepostrzeżenie w kolonii polskiej. Niebawem zbliża się z Marcelim Krajewskim, Wł. Żeleńskim i kilku jeszcze Polakami, zamieszkałymi w Paryżu. Nie brak mu i rozrywek. Czyż może braknąć ich w Paryżu? Ale, kto wie, czem są publiczne rozrywki paryskie, tego nie zdziwi, iż nie trafiają mu do gustu. „Stałem tam, jak słupek — pisze pod wrażeniem jakiejś wesołej zabawy—wytrzeszczałem oczy i nie wierzyłem im. Z tego przerażenia ocknąłem się dopiero, gdy kadryl był skończony. Wtenczas mnie serce zabolalo, myślałem o ludziach uczciwych, przypomniałem sobie nasze polskie kobiety, w końcu ciebie... i w duszy zaplakałem...“ W sercu, w którym króluje czysta i pocziwa miłość, w duszy przepojonej wizjami rzeczy wielkich, niema miejsca na czcze, blache wybryki paryskiej swawoli.

A i Francuzi nie znajdują łaski w jego oczach. Razi go ich hałaśliwa żywość, nie podobają pompatyczne nabożeństwa, gdzie widzi „ludzi-gapiów“ i sztuczną pobożność. Podziwia ich cudne zbiory obrazów, ale sztuka francuska nie całkowicie go zadawalnia. Szuka w niej duszy, a znajduje formę. „Władanie pędzlem, to nie jest jeszcze wszystko“—pisze. — Z obrazów, które ogląda na dorocznej wystawie, gdzie znajduje i spory szereg polskich dzieł, niewiele mu się podoba. Matejkę podziwia, ale to też nie jego rodzaj te żywiolowe, potężne, jak pieśń rycerska, obrazy. Nie rozumieją się te „dwa na słońcach swych przeciwnych bogi“. Jedyne obraz, który zwrócił jego uwagę, to Gersona „Góral na wędrowce“. Rzewny, swojski obrazek mówi do niego silniej, niż wielka obca sztuka.

Niema wreszcie i zbyt wiele czasu na oddawanie się przyjemnościom i rozrywkom. „Wojna“ i rysunki zarobkowe pochłaniają cały czas. Rysuje od rana do późnej nocy, z jedną myślą w zgorączkowanej głowie, z jednym pragnieniem w chorej piersi—lecieć „do kraju i do niej“. Ilość godzin przepracowanych dziennie dochodzi do przerażającej liczby—szesnastu! Czy wy „zjadacze chleba“ wiecie, co to jest pracować twórczo, ile jest w tem krwawego wysiłku? Że tyle godzin takiej pracy to—śmierć. A niema przy nim nikogo serdecznego, który by mu, położywszy dłoń na czole, powiedział—„dość!“ i którego by się on posłuchał; i nikogo, kto by siłą miłości odegnał widmo zatruty.

A w świecie widm i upiorów płyną mu teraz godziny—tygodnie. „Wojna“—„spokoju mu nie daje“. Ożywają coraz nowe obrazy, widzi je, czuje, otaczają go, żyją w nim i obok niego, żyją już wtedy, w onych szalonych porębskich

czasach. „Pomyśl teraz, a raczej posłuchaj:—pisze wówczas do p. Monné.—Gdyby malarz naraz wezwał swą Muzę, albo swą Beatriks i powiedział jej: Prowadź mnie tam, gdzie wre wojna, gdzie jej stanę oko w oko, gdzie mnie ona zasmuci, zastraszy, przerazi i obrzydnie!“ i gdyby go ona poprowadziła i pokazywała coraz nowy widok „a on stał, tulił się do niej—smucił—straszył—przerażał i wzdrygał?“ I stoi on sam ze swoją białą muzą, a przed nimi przeciąga widmo wojny! Kobieta uzbrojona, z żagwią płonąca na galopującym rumaku, a przy niej widmo śmierci, a obok—mór, a za nią ciągnie rozpacz i niewola; i płynie ten korowód upiorów, a on stoi, i patrzy, i smuci się, i straszy. Miała to być alegorja „Wojny“, jakby wstęp do cyklu—introdukcja. Zostało to jednak jako obraz oddzielny. I oddzielną też została kompozycja ciekawa niezmiernie, którą tylko z opisów znamy. Była to walka szkieletów, ubranych w korony „wojna dynastyczna“; czem ona się stała dla ludzkości, tego i mówić nie potrzeba“.

A teraz smutna sielanka. „Pierwszy obraz „Wojny“ zaczynam jutro, a będzie on przedstawiał kilkoro ludzi różnego stanu i wieku, stojących na podsieniu i patrzących w stronę, gdzie na niebie wieczorem ukazał się złowrogi kometa, zapowiadając straszne klęski i nieszczęścia“. I jest ów obraz, rysowany na żółtawym papierze białą i czarną kredą. W oddaleniu gaśnie zorza wieczorna, a w ganku, oplecionym zielenią, cała rodzina utkwili oczy w kometa. Jest i stary dziadus, i babunia modląca się, i młoda dziewczyna, patrząca więcej z ciekawością, niż niepokojem i młoda matka, zadumana nad losem dwojga dzieci, które dziś ma obok siebie spokojne i syte; a jutro?...

Jedyny to „Grottger“, którego posiada Warszawa w oryginalach w zbiorach Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. A warto obejrzeć go uważnie, ten skromny obrazeczek, ginaący między barwnymi, efektownymi obrazami, taki mówiący „cichym głosem, jakby tylko na ucho“ rzeczy jak świat wieczne.

I ten obraz nie wszedł do cyklu; pozostał jako oddzielna kompozycja. A cykl tymczasem rośnie, potężnieje, przetwarza się.

*W jednych my cierniów chadzali koronie,
Krew moich dłoni krwawiła twe dłonie,
I z jednych trucizn piekielnego zdroja
My pili razem, o Beatriks moja!*

Natchnione strofy „Przedświtu“ Krasieńskiego kolysały wyobraźnię Grottgera w epoce, gdy wizje „Wojny“ spać mu nie dawały. I wyrasta ona przewodniczka, ona muza biała, biorąc rysy tej, którą ukochał i wiedzie go przez wszystkie okropności wojny i pokazuje mu rozpacz i nędzę, i głód, i pożogę, i świętokradztwa, i zdrady. Widzi, jak płonie świat „miotan rozpaczą bezbrzeżną i wściekłą „jak Dant za życia“ przechodzi „przez piekło“.

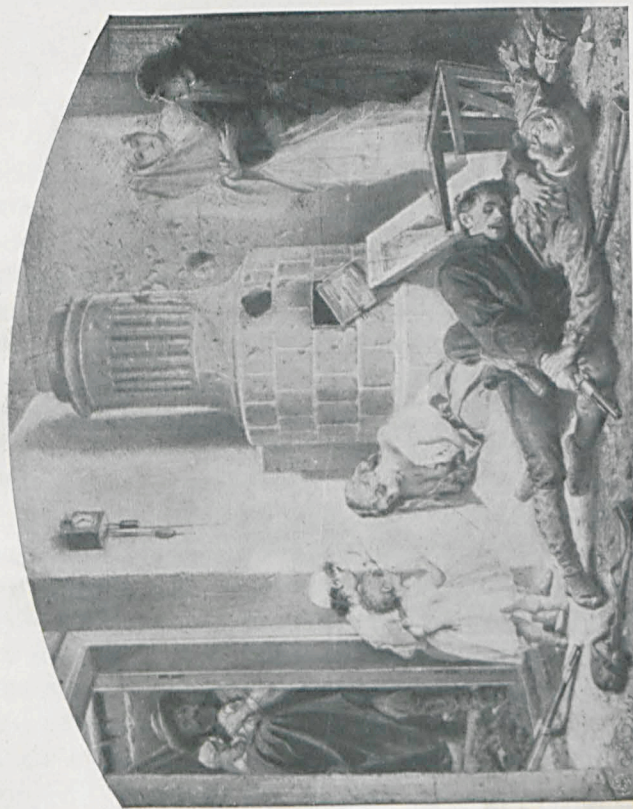
W tem dziwnym zestawieniu mówiły ze sobą dwa wielkie duchy. Marzenia biorą na siebie ciało i ożywają w szeregu obrazów najpiękniejszego z poematów Grottgera.

Oto co nam mówi on sam o obrazie pierwszym, iż: „przedstawia artystę w chwili, w której, siedząc przy pracy, głęboko się zamyślił i, zakrywszy sobie oczy, zaczął w duszy wywoływać obraz myśli swoich“. Dodajmy do tego w obłokach postać Beatriksy w białej, greckiej szacie, wyciągająca rękę do artysty: „Pójdź ze mną w dolinę łez!“

I poszedł za swoją Beatryczą i będziemy ich widzieli tych dwoje, przesuających się we wszystkich obrazach, jak powtarzająca się zwrotka muzyczna, której się czeka, pragnie, bez której niepodobna by sobie wyobrazić „Wojny“; bez tych dwojga, jego—w długiej, czarnej, fałdzistej szacie, jej—w klasycznej todzie. „Beatryks moja nie może być w krynolinie“—pisze żartobliwie Grottger. Oczywiście!

„Był to kometa dziwnej wielkości i mocy...“ a w jego „krwawe oko“ i ogon złowróźbny wpatrzyła się gromadka mała. Taż sama babunia staruszka, przy niej biała dziewczyna, nie ta spokojna i zaciekawiona, ale tuląca się do staruszki z dreszczem trwogi. Para narzeczonych w głębi i dziecko w koszulince, oparte o kolana babci „patrzy za przykładem starszych na gwiazdę z ogonem“. A z boku, w zaroślach artysta i genjusz jego. Oczekiwanie czegoś, co przyjsć ma.

I przyszło. Pierwszy akt tragedji, której na imię—wojna. Losowanie. „Przez dzień dzisiejszy—pisze Grottger—wyrosł przecież bohater mojego terazniejszego obrazka. A powiadam ci, taki śliczny, że jeszcze nigdy podobnie pięknego młodzieńca nie stworzyłem. Włosy ma długie, kręcone, a czarne, jak heban; oko podłużne, przymrużone, niby obojętnie z pod długich czarnych rzęsów ku urnie złowrogiej wyziera“, a dalej: „Przybyło dwóch synów Marsa, siedzących za stołem: jeden tak głupkowato, a przytem drwiąco podśmiechujący się, drugi zaś, starszy, kwadratowy, krótkokarczasty, z gęstą strzępiastą brodą, z okiem, jak u starego żbika, a wyrazem twarzy pełnym surowości i srogiej bezwzględności żołdackiej“.



„WOJNA“ — NIC PRÓCZ NĘDZY.

A tam u drzwi—matka...

„...stała u progu, chce do syna...

Puśćcież ją, ludzie! Niech rwie siwe włosy,

Niech łzami krwawych źrenic swych przeklina

Was i tę urnę i dzień ten i losy,

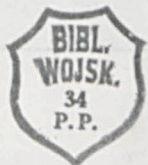
Niechaj na syna patrzy do ostatka...

Puśćcie! wszak każdy matkę miał... to matka!...“

W Odjeżdża—on, czy inny, wszystko jedno. „Sztandar ich furka i bryka, jakby wesołością swoją urągał tym posępnym żelaznym rycerzom“. Jeden odwrócił się z konia i ręką oraz spojrzeniem żegna ukochaną, a „w środku obrazu kobieta młoda i piękna konwulsyjnie przycisnęła do siebie biedne maleństwo owite...“ „głowę jej w tył zwiesilem, jakby to ostatnie zawołanie odjeżdżającego męża na wskroś jej serce przeszło...“ „Kilka kruków z za krzaków wzniosło się wysoko i leca, bo rycerzy wyprzedzić muszą. Oto cały obraz“.

Pożoga! „miasteczko się pali; całe morze płomieni roz-wścieczonych, jak szalone wzbija się pod obłoki...“ „Nic nie ocaleje, wszystko stracone! To też biedni mieszkańcy długim szeregiem uchodzą z miasteczka, każdy co ma najdroższe ze sobą zabrawszy“. A na przodzie genjusz „biały, smutny, siedząc na odłamie skały, podparł się lewą ręką...“ a u jego nóg artysta-wędrowiec, odwrócił oczy; zawięle ludzkiej niedoli! A za nimi chmury dymu, morze ognia... Pożoga! pożoga!

A za nią w trop—głód. „Pomyśl sobie, że jesteś w lesie, przy samym krańcu jęgo, skąd, rzuciwszy okiem po okolicy, dostrzeżesz w oddaleniu palące się miasteczko...“ pod wiel-



kiem drzewem siedzi matka, a na ziemi dwoje prześlizniętych dzieci; chwycono je z łóžeczek w koszulinach, owinięto czemkolwiek, co się pod rękę nawinęło. „Matka płacze, bo kto wie, czy tam męża nie zostawiła, a dziatwa głodna prosi a prosi chleba. Młode dziewczę wyjęło z koszyka bochenek i oto rozdziela go między biednych zgłodniałych. Staruszek wsparł się na wychudłej ręce i zadumał bardzo“. Prosty, za serce chwytający opis; czy mamy szukać innych wyrazów po nad te, które skreśliła ta sama ręka, która obraz stworzyła?

— A teraz znowu „mistrz tony natęża, i nagle puścił fałszywy akord, jak syk węża!“ Zdrada! Pochwycono zbrodniarza, sprzedawczyka; nie bał się swego czynu, a teraz ze śmiertelnem przerażeniem w oczach, obszukiwany przez dwóch żołnierzy, widzi jak dowody jego zbrodni czyta starszyna pułkowa. W obrazie tym próżnobyśmy szukali Grottgera-liryka; jest w nim siła, prawda przerażająca, fatalna, ohydna w swojej nagości. I ten, inny Grottger, spogląda jej w oczy i woła do ludzkości — patrzcie!“

— I pójdzie dalej i da nam obraz następny, gdzie ludzie-bliźni pastwią się nad ciałami poległych, zdzierają z nich odzież, aby się sami przyodzili. Muza twarz odwróciła, wędrownik tuli się do niej, przerażone oczy zwracając na pobożowisko. Ludzie, czy szakale?

— I nic tylko nędza. Ten dom zburzony, gdzie:

„I ci, co bronili i ci, co się wdarli,

„Pierwszy raz pokój szczery i wieczny sawarli“.

Leżą pierś na piersi, w ostatniej walce — pojednani, w ostatnim, zbrodniczym uścisku — zastygli. I znowu odzywa się nuta

liryczna, rzewna. Te dwoje dzieci, białe niewinne aniołki, rączynami się objęły, szukają matki, znajdują — trupa.

— A wojna idzie; a przy niej — śmierć, a obok — mór, a za nią — rozpacz i niewola, i niemasz, czego by nie po-deptała.

— Kruchta kościelna, z której wojska najezdnicze uczyniły szulernię; stoją bębny, na których przed chwilą siedzieli gra-cze, rozrzucone karty, dymiąca jeszcze fajka, a ponad tem „do filara na krzyżu przybity Pan Jezus. Rozciągnął ramiona swoje i głowę smutnie pochylił, bo go nie chciano usza-nować, a na ramionach płaszcze, ładownice i różne ryszunki wojenne pozawieszano“. A genjusz biały twarz sobie szata zasłonił i artysta już patrzeć nie chce. Uchodzi. Dość tych strasznych wizji, dość okropności.

— Ale ponad temi okropnościami jest Bóg; i tego Boga, Bo-ga sprawiedliwości, kreśli artysta-wędrowiec, gdy, siadłszy w samotnej pracowni, myśli swoje na obraz przenosi. „O ludz-kości! ty rodzie Kaina!“

Czyż można opisać ten poemat w obrazach? trzeba by było na to poety miary równej Grottgengerowi. I może nigdy bardziej nie był ten cykl mówiącym, jak dziś. Któż jest, kto go nie zrozumie, nie odczuje? Któż jest, kto nie po-wtórzy dziś: „Ludzkości! ty rodzie Kaina!“

— Praca nad „Wojną“, rachując i porębskie czasy, skąd po-chodzi kilka ukończonych kartonów, trwała około dziewięciu miesięcy; ale wszakże w tym czasie robił i inne rzeczy, choć-by tylko w czasach paryskich ów „Pochód na Sybir“. A ileż rysunków robionych dla zarobku. Przecież żyć było trzeba. I dziwnie szła praca nad tem ostatniem, wielkiem dziełem. O ile do innych kartonów robił dużo szkiców przygotowa-

czych, o tyle do „Wojny“ nie robił ich wcale prawie. Wszystkie obrazy stawały mu gotowe w wyobraźni. I studjów jest też bardzo niewiele. Rysował najwidoczniej od razu na kartonach, posługując się modelem żywym przy wykończaniu, pozując nierzadko sam sobie. Grottger często umieszczał siebie w swoich obrazach. Czemu tak było? Czy przypiszemy mu pretensjonalność, samouwielbienie? Bynajmniej? Kto sam rysuje, ten wie, jak trudno jest nieraz o ruch właściwy, trudniej jeszcze o wyraz, jakiego się potrzebuje, jaki się czuje, i że żaden model go nie da, że gdyby artysta mógł sam sobie pozować do wszystkich postaci, byłoby to dla niego ogromnem ułatwieniem, bo on każdy ruch, każdy wyraz czuje w sobie.

Istnieje portrecik ciekawy, robiony ręką Marcelego Krajewskiego, ostatni wizerunek Grottgera, który niewątpliwie zrobiony był dla użytkowania go w przedostatnim obrazie „Wojny“. Grottger sam pozował dla wydobycia ruchu artysty-wędrowca, zakrywającego twarz ręką w zbeszczeszczonym kościele.

Wiadomo zresztą, iż pierwszą jego myślą było artyście-wędrownikowi nadać swoje rysy—co też zrobił. Przed samem ostatecznem ukończeniem cyklu, w maju, odwiedził go jeden z malarzy paryskich i ostro zganiał ten pomysł i „Wojnę“ wogóle. „Tak okropnie ją skrytykował—pisze Grottger—że kocie twoje ledwie się nie przewróciło ze strachu i, co być mogło, nie wyrzuciło go za drzwi“. Niemniej zarzut pretensjonalności zabolął go, gdyż nie było w nim tego uczucia. Cóż tedy robi? Oto zamyka się w pracowni i, nie wychodząc prawie przez dni kilka, przerabia głowę artysty, zacierając swoje rysy i typ głowy. Można sobie

wyobrazić, z jaką furją musiał przeprowadzać te poprawki, nie wypływające z jego głębokiego przekonania i chęci.

W końcu maja kończy „Wojnę“; czas dać ją na doroczną wystawę paryską. I znów fatalność! Niema środków na zakupienie szkła i ram; trzeba czekać, zdobywać pieniądze. „Litwania“, wystawiona w Paryżu, nie znajduje nabywcy. Wszystko idzie jak z kamienia, i „Wojna“ zjawia się na wystawie o kilka tygodni spóźniona; już pierwsze fale zwiedzających i znawców przepłynęły przez salon doroczny i cykl nie budzi już tego zainteresowania, jakie był powinien. Fatalność! A warta była uwagi. Nigdzie jeszcze genjusz Grottgera nie wystąpił z taką siłą, nigdzie nie wznosił się on tak wysoko w samem wykonaniu. Nigdzie grupy postaci nie wiążą się tak prosto i jasno; tak nie tam niema zbyt czystego, zaciemniającego wyrazistość kompozycji. I tak jak wszystkie wielkie dzieła zdaje się być wykończoną lekko, bez trudu; i tak jak wszystkie wielkie dzieła kosztowała Grottgera wiele pracy i wysiłków. Ileż razy pisze: „wszystko starłem“, „zaczęłam na nowo“. Ile razy szarpie się w niepewności, czy to, co daje, to już naprawdę wszystko, co dać może.

I stargał w tej walce siły tak fizyczne, jak i moralne. Ukończył „Wojnę“, dobiegł kresu; zabrakło podniety, niema codziennej troski i myśli o niej. „Wojnę“ przestałem już kochać—pisze—odkąd przestała być jedyną nadzieją moją; nie dziw, że dla niej zubożniałem“. Jakże częste w pracy artystycznej to zniechęcenie do własnego dzieła, wtedy, gdy się je odda ludziom, gdy przestaje być wyłączną własnością autora, a staje się cudzem, ludzkim, obcem już...

Coś się zaczyna psuć i rozpręgać w jasnej, pogodnej naturze Grottgera. Siły fizyczne nie dopisują, skarży się na

ne pogody, jakoby zgrzana chorą pierś przygnał do marmurowego kominka, jakoby list jakiś, który wstrząsnął nim do głębi. A wreszcie — wszystko jedno. Gasł, odchodził.

„Mojej lampy życia już nie widzę“.

Sztuka, sława, służba dla kraju, cały ogrom pracy. Starczyło tego na śmierć, nie starczyło na życie, na tę odrobinę własnego szczęścia, do którego dziś jeszcze, bezsilny, z twarzą „biała, jak alabaster“ napróżno wyciąga ręce. A siły uchodzą.

„Wtorek rano — pisze we wrześnie do narzeczonej — byłem bardzo chory, ale dzięki Bogu niebezpieczeństwa niema. Twoje kocie jest słabsze od komara“. Jest przytem chory ciężko na duszy. Próżno przyjaciele, nieodstępny Marceł Krajewski, starają się podtrzymać w nim ducha. Wszystko nadaremnie. Ostatnie niepowodzenia zatrwały mu duszę jadem zwątpienia, wszystkie rachuby zawiodły.

„Spochmurniało dawniej tak jasne i pogodne niebo nad światem moich myśli“. Przyszłość, do której dążył najcudniejszą drogą pracy niezmordowanej i ofiary swego talentu, staje przed nim ciemna i głucha. W tym szalonym, tragicznym wyścigu z losem czuje, iż jest pokonanym. A siły uchodzących nie ma podtrzymywać za co. Zasoby się wyczerpały, pracować już nie może. Próżno Krajewski stara się zbyć cośkolwiek z prac pozostałych w tekach. Wszystko zawodzi. A wokół obcy kraj, obcy ludzie...

W październiku kilka chwil jaśniejszych. Matejko, obecny wówczas w Paryżu, odwiedza kilkakrotnie chorego. Technienie z kraju... wspomnienia starego Krakowa... Gdzie one chłopięce swawole, one wieczorynki z kolegami?... Gdzie ów „Acio“ wesoly, ufny, gdzie dwór ottyniowiecki?



BIEDNA MUZYKANTKA.

gdzie Lwów kochany, „ciocia Olesia“, gdzie towarzysze młodości?

„Hej, jak daleko, daleko nasza miła Polska!“

A sił coraz mniej.

W pierwszych dniach listopada cesarz austriacki Franciszek Józef nabywa „Wojnę“ za 8,000 franków i uwozi do zamku swego Gödöllö na Węgrzech. Uśmiech losu, który przyszedł zapóźno!

Niestrudzony Krajewski wywozi Artura do Pau, miejscowości na południu Francji. Czas też to był ostatni. „Była już fatalna chwila w ostatnich dniach przed wyjazdem do Pau—pisze Krajewski.—Doktorowie wąpili, czy dojedzie na miejsce, a jechać trzeba było koniecznie“. I wyjechali. Zmiana miejsca, powietrze, któż wie? A gdybyż jeszcze obecność tej, do której uparcie, rozpaczliwie, zwraca się myśl chorego. Pisz zaniepokojony przyjaciel, wzywa, prosi—trzeba mu kochającej ręki, a może wtedy...

Ci, co stoją najbliżej, najdłużej się ludzą. Żadna na świecie ręka nie mogła go już dźwignąć z przepaści, w którą się staczał, zawrócić z drogi, którą odchodził w wieczny cień. A wreszcie nie było tej ręki i nikt nie śpieszył.

W końcu listopada śle Grottger ostatni list do narzeczonej; spodziewa się, iż gdy doleci do niej, spadnie jej na serce, jak ptak żaloby.—„Placzesz! płaczesz, moje biedactwo? Nie płacz, bo w samej rzeczy niema czego. Kończcie, bo ręka w żaden sposób iść—dalej—nie—chce“.

„Tymczasem choroba się wzmagała; na początku grudnia trzeba było wyjechać dalej na południe, do Amélie les Bains. Podróż ta trwała pół dnia; śnieg padał, a wicher dął tak silnie, że wyrwał z wagonu latarnię.

Na trzeci dzień po przybyciu na nowe miejsce pobytu nie mógł już łyżki utrzymać w osłabłej ręce; nogi zaczęły mu puchnąć. Odtąd już nie łudził się.

— Zobaczysz, Marcelu—mówił do przyjaciela—że ja wkrótce klapnę.

Przejrzawszy się w zwierciadło zawołał nie bez uczucia przelęknienia:

— Wyglądam, jakbym wyszedł z trumny; niedługo też do niej wejdę.

Przytem ciągle się troskała, że swoją śmiercią nabawi towarzysza „porządnego kłopotu“. Podtrzymywała go jeszcze nadzieja ujrzenia narzeczonej. Ostatnich listów od niej już sam czytać nie mógł, ani ich Krajewskiemu czytać nie pozwolił.

— Nie rozpieczętuj, nie czytaj—mówił—bo dałem słowo mojej pannusi nie czytania nikomu jej listów...“¹⁾

Dnia 13 grudnia usnął późno. „Jeszcze o czwartej rano mówiłem do niego—pisze Krajewski—następnie uciszył się i zasnął. Później wstając podać mu lekarstwo, budzę go—on nic nie odpowiada; biorę za rękę—martwa; otwieram okiennice i widzę go bladego jak ściana, z twarzą suchą, a zwykle rano był kroplami ściekającego potu obłany...“ „nie widzę najmniejszego poruszenia piersi, ani oddechu...“

Stało się to najstraszniejsze i nieodwołalne. W zimnym, hotelowym pokoju nikt z „najdroższych na świecie osób“ nie położył mu ręki na stygnącym sercu. U „nieplakanej trumny“ stanęła jeno Slawa i ta za nim poszła.

¹⁾ Kantecki.

Tak mu było zapisane w losach—wziąć w siebie wszystkie bóle narodu, wyśpiewać pieśń nieśmiertelną i ledz, jak dzwon rozbity...

Żyć nadzieją i stracić ją.

Żyć miłością i nie zaznać jej.

„I tak cicho odlecieć, jak duch, gdy odlata“.

* * *

We dwa lata później zwłoki Artura Grottera zostały staniem narzeczonej sprowadzone do kraju i pochowane we Lwowie, na cmentarzu Łyczakowskim.



K O N I E C .



„KSIĘGARNIA LUDOWA”
JULJI SIKORSKIEJ

WARSZAWA WARECKA 14

poleca ostatnie nowości

CZERWIŃSKA A.	M. f.
PIĘTNAŚCIE LAT ROSJI W POLSCE 1815—1830	—90
O SEJMIE WIELKIM I KONSTYTUCJI 3-go MAJA (Odczyt)	—20
O NACZELNIKU KOŚCIUSZCZE (Odczyt)	—40
NOC 29-go LISTOPADA 1830 R. W WARSZAWIE (Odczyt)	—50
GERSON-DĄBROWSKA M.	
ARTUR GROTTGER (Odczyt)	—
ZA CO? OBRAZEK Z ŻYCIA UNITÓW	—40
RACŁAWICKIE KOSY (OBRAZ SCENICZNY)	1.80
WYBRANIECKIE ZUCHY (OBRAZ SCENICZNY Z CZASÓW STE- FANA BATOREGO)	1.20
JEZIERSKI E.	
BOHATER WOLI — JÓZEF SOWIŃSKI	1.20
KOSMOWSKA I.	
POLSKA PIEŚŃ WOLNOŚCI W EPOCE POROZBIOROWEJ	1.60
MARJA JANINA.	
O SZYMONIE KONARSKIM	—60
MARCINOWSKA J.	
ROK 1863	—65
BARTOSZ GŁOWACKI — OBRAZ SCENICZNY	1.15
ZA WOLNOŚĆ LUDU — OBRAZ DRAMATYCZNY Z CZASÓW POWSTANIA 1863 R.	—65
LEGJONIŚCI — OBRAZ SCENICZNY	1.20



2018